

UKRAINKA

PIEŚŃ LASU

PIW



ŁESIA UKRAINKA

PIEŚŃ LASU

Ł E S I A U K R A I N K A

PIEŚŃ LASU

Wybrał
i słowem wstępnym opatrzył
FLORIAN NIEUWAŻNY

PAŃSTWOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY

© Copyright for the Polish edition by
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1989

ISBN 83-06-01787-0

FENOMEN ŁESI UKRAINKI

Istnieją w kulturze europejskiej twórcy, których dzieło przesiąknięte na wskroś pierwiastkami narodowymi jest tak organicznie związane z kulturą rodzimą, że mimo niezaprzeczalnej wielkości i oryginalności z trudem wychodzą poza krąg własnych odbiorców, zdumionych rzekomą niewrażliwością i brakiem zainteresowania cudzoziemców.

Poezja Lamartine'a czy Hölderlina, twórczość Mickiewicza czy Wyspiańskiego z trudem torowały sobie drogę ku czytelnikom innych narodowości. Istota problemu nie polega jedynie, jak w przypadku polskich twórców, na barierze językowej, lecz na problematyce narodowej, która stała się obsesją tych autorów.

Do takich twórców ściśle związanych z historią własnego narodu, jego mentalnością, kulturą należy Łesia Ukrainka. Jej pisarstwo przypada na okres politycznego odradzania się Ukrainy i spóźnionego samouświadomienia kulturalnego, kiedy to coraz więcej symptomów zapowiadało krach imperium rosyjskiego.

Twórczość Łesi Ukrainki to heroiczny nieomal wysiłek zaszczepiania zdobyczy sztuki, myśli społecznej, przo-

dujących teorii społecznych i estetycznych Europy kultu-
rze ukraińskiej sztucznie odseparowanej od europejskich
źródeł. To uparte wydobywanie rodzimej literatury z za-
ścianka, prowincjonalizmu, do którego spychano literatu-
rę ukraińską, niezdolną rzekomo do samoistnego bytu.
Twórczość Łesi Ukrainki to uparta wiara w to, że na-
ród ukraiński jest zdolny przyswoić sobie obce wartości
z pożytkiem dla własnej tradycji i dzięki temu włączyć
się do ogólnoeuropejskiego dorobku kulturowego.

Osobowość twórcza Łesi Ukrainki trudno poddaje się
zabiegom klasyfikacyjnym. Pisarka odznaczała się bowiem
nie tylko samozaparciem i heroizmem, całe życie walczy-
ła z chorobą, która zmogła ją w wieku czterdziestu czter-
ech lat, ale przede wszystkim ogromną wiedzą, erudy-
cją zdobywaną samodzielnie, ukształtowanymi poglądami
estetycznymi i politycznymi oraz silną wolą i urokiem oso-
bistym. Te m.in. cechy sprawiły, że jej poszukiwania ide-
owo-formalne w poezji, dramacie i prozie od dawna znaj-
dowały na Ukrainie kontynuatorów, natomiast jej odkry-
cia w dziedzinie dramatu neoromantycznego należycie oce-
niono stosunkowo niedawno – świadczą o tym nie tylko
poświęcone jej liczne monografie, lecz również twórczość
takich poetów jak Lina Kostenko czy Iwan Dracz.

Wobec Łesi Ukrainki, która godnie wsparła dzieło
Tarasa Szewczenki, Iwana Franki i Mychajły Kociubyn-
skiego, można zastosować jej własne słowa z dramatycz-
nego dialogu Trzy minuty: „Dla idei człowiek ge-
nialny jest soczewką, w której skupiają się jej promienie
rozsiane w cząsteczkach między nami.”

Czy owych „cząsteczek” należy szukać tylko w litera-
turze, której ukraińska pisarka poświęciła najwięcej sił

w swym życiu? Nie. Można je znaleźć w jej publicystyce, listach, działalności społecznej i politycznej. Poetka ta na Ukrainie wyprzedziła swoją epokę. Europejskość jej twórczości, intelektualizm, zafascynowanie socjalizmem, protest przeciw konformizmowi i społecznemu zubożeniu zaściankowej inteligencji ukraińskiej (zresztą nielicznej) wzbudzały sprzeczne reakcje: najczęściej był to powściągliwy podziw, lęk wobec radykalizmu poglądów poetki, niezrozumienie jej poszukiwań ideowych, problemowych i formalnych, ale także szacunek dla tego dziwnego, burzącego spokój zjawiska.

W społeczeństwie ukraińskim przelomu XIX i XX wieku, które było niechętnie „modernistycznym” nowinkom i skostniałe w swoich gustach estetycznych, nie znalazło się zbyt wielu wielbicieli dramatycznej twórczości Łesii Ukrainki. Natomiast jej poezja, zwłaszcza kontynuująca społecznikowskie idee Szewczenki (choć poetka przełamywała świadomie nacisk jego formy, a ulegało jej wielu twórców tzw. doby poszewczenkowskiej) znajdowała najwięcej uznania m.in. u Iwana Franki, który patronował początkom drogi poetyckiej młodej autorki z Ukrainy Naddnieprzańskiej. Niestety dramaty poetyckie, poematy dramatyczne i dialogi, w których Łesia Ukrainka podejmowała kwestie filozoficzne, społeczne i narodowe, najczęściej zresztą maskowane wątkami i realiami antycznymi bądź średniowiecznymi zaczerpniętymi z historii narodów Europy i świata, spotykały się z obojętnością i pomówieniami o „egzotyczność”.

Być może przyczyna owego niezrozumienia tkwiła w tym, że pisarka realizowała swoje zamysły na materiale obcym – starożytdowskim, greckim, rzymskim, francus-

kim z okresu Wielkiej Rewolucji. Nie wynikało to jedynie z konieczności posługiwania się mową Ezopa, choć i to wchodziło w rachubę w warunkach ucisku narodowego i społecznego szczególnie uciążliwego na Ukrainie Naddnieprzańskiej. Faktem jest, że utwory te znalazły głębszy oddźwięk i zrozumienie dopiero w czasach radzieckich, kiedy to doceniono niepowtarzalny talent poetki.

Faktem jest również, że – jak stwierdza Wacław Kubacki w przedmowie do polskiego wydania dramatów Łesi Ukrainki – „nie przypomina ona nikogo ze współczesnych szerokim zakresem historycznym i kulturalnym. Od romantyzmu przez parnasizm do fin de siècle'u rósł w literaturze pęd za egzotykiem. Mimo to zdumiewa rozpiętość tematyczna i fabularna utworów pisarki: Egipt faraonów, Babilon, Judea, cykl trojański, podbita Hella-da, ewangeliczna Ziemia Święta, imperium rzymskie, pierwotne chrześcijaństwo, Mahomet, mitologiczna baśń słowiańska, pionierzy Ameryki Północnej w XVII wieku, Hiszpania Don Juana oraz obyczajowe i społeczne malowidła ze schyłku rosyjskiego cesarstwa.” Tajemniczy fenomenowi poetki nie odnajdziemy w licznych porównaniach; odsłaniają one tylko część talentu i osobowości Łesi Ukrainki. Porównywano ją bowiem z Prometeuszem, Saffoną, Kassandra czy z kwiatem Saxifraga – łamikamieniem, wyrastającym w najtrudniejszych warunkach górskich i udowadniającym siłę trwania. Można by dodać do tego fakty z życia pisarki – walkę z gruźlicą, ustawiczne wędrówki i podróże w poszukiwaniu odpowiedniego klimatu, dziwną przyjaźń-rywalizację z matką-pisarką Ołeną Pczilką usiłującą naginać córkę do własnych kon-

cepcji estetycznych, wpływ na Łesię ukraińskiego socjalisty, uczonego, etnografa, publicysty Mychajły Drabomanowa, brata matki Olgi Kosacz (takie było nazwisko rodowe Łesi Ukrainki), przedwczesną śmierć ukochanego poetki Sergieja Merżyńskiego, działacza bolszewickiego z Białorusi, zmarłego na gruźlicę. Można tu mówić o rzadko spotykanej bezkompromisowości poetki, która głosząc swe poglądy była czasem niemal fanatyczna; mogło to wypływać z atmosfery domu Kosaczów, jej rodziców, gdzie spotykała się młodzież różnych orientacji rewolucyjnych, którą łączyło tylko jedno – sprzeciw wobec caratu.

To tylko niektóre aspekty życia i twórczości pisarki znanej pod pseudonimem *Łesia Ukrainka* (z domu – Łarysa Kosacz, po zamążpójściu – Kwitka), o której Iwan Franko z okazji wydania przez nią tomów wierszy *Na skrzydłach pieśni* (1893) i *Dumy i marzenia* (1899) napisał: „Od czasu Szewczenkowego *Pochowajcie i wstawajcie, zerwijcie kajdany* Ukraina nie słyszała równie silnego, gorącego i poetyckiego słowa jak to, które padło z ust tej wątłej, chorej dziewczyny (...) Mimo woli rodzi się myśl, że ta chora, wątła dziewczyna jest nieomalże jedynym mężczyzną na całej Ukrainie.”

Nie była, co prawda, pierwszą głosicielką przebudzenia narodu tkwiącego w pętach ucisku społecznego i narodowego, pozbawionego z wielu powodów własnej inteligencji broniącej swej odrębności narodowej, lecz w szczególności dramatyczny sposób kontynuowała walkę o świadomość narodową Ukrainy, rozpoczętą przez Tarasa Szewczenkę, Pantelejmona Kuliszka i Iwana Frankę. Dzie-

ki pisarstwu traktowanemu jak powołanie i służba ludowi uzbrajała swoje społeczeństwo w idee socjalizmu, nauki i kultury europejskiej, dała temu społeczeństwu, według określenia Iwana Franki, „żelazo świadomości narodowej, poczucia solidarności”.

Przyszła na świat 13/25 lutego 1871 roku w miasteczku Zwiabel w rodzinie urzędnika do spraw włościańskich Piotra Kosacza i Olgi z domu Drabomanow, pisarki znanej pod pseudonimem Ołena Pczilka (pseudonimy w owym czasie były wymuszone przez represje carskie i cenzurę zakazującą druku w języku ukraińskim, co powodowało, że pisarze ukraińscy publikowali swoje utwory w Galicji i wielu krajach Europy). Matka Łesi Ukrainki była siostrą znanego działacza socjalistycznego zmuszonego do wyemigrowania z kraju – Mychajły Drabomanowa. Jako dziesięcioletnia dziewczynka Łesia zaczęła pobierać lekcje gry na fortepianie u żony kompozytora Mykoły Łysenki, lecz po dwóch latach, gdy wykryto u niej gruźlicę kości, musiała pożegnać się z czynnym uprawianiem muzyki, która fascynowała ją jednak przez całe życie. W roku 1890 na wieść o aresztowaniu za działalność rewolucyjną lubianej ciotki Ołeny Kosacz napisała swój pierwszy wiersz pod tytułem *На дз і я*.

W roku 1884 lwowskie czasopismo „Zoria” (nr 22) wydrukowało pierwszy utwór poetycki – wiersz *К о н в а л і а*, podpisany pseudonimem Łesia Ukrainka. W następnym roku ukazała się we Lwowie książeczka *В і е ч з о р н и ц е*. (O p o w i a d a n i a M. G o g o l a). Przekład Mychajły Obacznego (pseudonim brata poetki) i Łesi Ukrainki.

Od 1883 roku rozpoczęły się ustawiczne kuracje w sa-

natoriach, operacje – najpierw ręki, potem nogi; obawiano się, że choroba zaatakuje inne organy. W 1884 roku Łesia wraz z matką, bratem Mychajłą i siostrą Olgą odwiedziła uroczysko Neczymne koło wsi Kolodiażne, gdzie stale mieszkała rodzina Kosaczów, i tam usłyszała po raz pierwszy legendę o mawce oraz innych stworach leśnych, co dało pod koniec życia impuls do napisania „dramatu-feerii” *Pieśń lasu*.

W 1893 roku ukazał się pierwszy tom własnych utworów poetyckich Łesi; rok wcześniej we współautorstwie z Maksymem Stawyskim (pseudonim Maksyma Stawinśkiego) wydała ona we Lwowie *Księgę pieśni Henryka Heinego*. Tom Łesi *Na skrzydłach pieśni*, wydany również we Lwowie, został zakazany w Rosji i na Ukrainie Naddnieprzańskiej. Od tego też roku nad Łesią Ukrainką roztoczono tajny nadzór policyjny trwający do końca jej życia.

W 1894 roku ukazał się we Lwowie poemat Łesi *Ukrainki Robert Bruce, król Szkocji*.

Bywając często w Kijowie, Łesia kontaktowała się z działaczami antycarskich ugrupowań i partii. Dzięki członkowi RSDRP Pawłowi Tuczapskiemu poetka poznała Sergieja Merżyńskiego, również rewolucjonistę. W znacznym stopniu ukształtował on socjalistyczne, radykalne poglądy poetki. Merżyński zmarł w Mińsku w 1901 roku, Łesia opiekowała się nim do końca.

Między rokiem 1898 a 1901 powstał dramat obyczajowy *Niebieska róża*, szereg liryków miłosnych inspirowanych przez uczucie do Merżyńskiego oraz wiele artykułów i esejów literackich, które drukowało rosyjskie marksistowskie pismo „Żyzń”. Drugi z kolei zbiór wier-

szy *Łesi Dumy i marzenia* zapewnił poetce trwale miejsce w literaturze ukraińskiej.

Za życia poetki ukazały się jeszcze następujące jej książki: *O d g ł o s y* (1902 w Czerniowcach), Henryk Heine – *Atta Troll. Ratklij. Ballady*, przekłady Łesi Ukrainki i Maksyma Sławińskiego (Lwów 1903) oraz drugie, poszerzone wydanie poezji *N a s k r z y d ł a c h p i e ś n i* (Lwów 1904). Od 1901 roku z przerwami Łesia Ukrainka leczy się w San Remo. W swoich wyjazdach zabaczała o Zurych, Monachium, Wiedeń, Lwów. Powracała do Kijowa i znów uciekała przed chorobą do Gruzji.

W 1907 roku poślubiła muzykologa Kłymenta Kwikę i razem z nim wyjechała do Jalty, potem do uzdrowisk nad Morzem Czarnym, a po konsultacji w Berlinie, gdzie wykryto gruźlicę nerek, do Gruzji i Egiptu (Heluan). Przebywała tam w latach 1909–1910, by po krótkim pobycie w ojczyźnie i Gruzji znów wrócić do Heluanu i Aleksandrii. Po raz ostatni była w Kijowie w 1913 roku, skąd wyjechała do Gruzji, gdzie w miasteczku Surami zmarła 19 lipca/1 sierpnia 1913 roku na gruźlicę nerek.

Monotonna na pozór egzystencja kuracjuszki obfitowała w wydarzenia intelektualne: Łesia dużo czytała, studiowała nauki społeczne i języki obce (władala biegle wieloma językami współczesnymi oraz greką i łaciną), żywo interesowała się polityką, utrzymywała kontakty z wieloma działaczami marksistowskimi i socjalistycznymi w Rosji i Europie. Z utworów poetki nie dowiemy się prawie nic o jej przeżyciach osobistych – dzieliła się nimi tylko z zaprzyjaźnioną pisarką Olgą Kobylańską zamieszkałą na Bukowinie – ani też o udziale w ruchu lite-

rackim (a były to m.in. próby stworzenia organizacji młodzieży piszącej po ukraińsku, biblioteki przekładów, gdzie ważne miejsce zajmowała lubiana przez poetkę literatura polska, współudział w święcie literatury ukraińskiej z okazji odsłonięcia pomnika Iwana Kotlarewskiego w Poltawie etc.)

Sensem życia Łesi Ukrainki była twórczość, przede wszystkim poetycka i dramatyczna, aczkolwiek i w dziedzinie nowelistyki oraz publicystyki zdziałała niemało. Nie zyskała jednak za życia szerokiej popularności, gdyż większość jej książek ukazała się poza granicami Ukrainy Naddnieprzańskiej, wielu sztuk nie pozwoliła opublikować cenzura, nielicznych wierszy o tematyce osobistej poetka sama nie chciała drukować. Twórczość tę zaczęto głębiej poznawać dopiero w czasach radzieckich, kiedy odnaleziono rękopisy i listy Łesi Ukrainki, kiedy powstały studia o jej życiu i twórczości.

Niewiele poznamy z utworów Łesi Ukrainki wydarzeń jej pozornie nieciekawej biografii. Jest to głównie zapis przeżyć i wrażeń, dążeń i pragnień poetki, ukrytej najczęściej pod postacią bohaterki lirycznej lub bohaterów rozmaitych wyznań czy przekonań politycznych. Jednakże już we wczesnej poezji Łesi uderza szczególnie nuta nakazująca czytelnikom widzieć w bohaterce lirycznej bojującą o wzniosłe idee, rezygnującą dla nich ze szczęścia osobistego. W wierszu *Sen nocy letniej* z 1892 roku musi ona dokonać wyboru między „przedziwnym szczęściem” osobistym a twardą rzeczywistością.

O szczęściu nie marzę, bo los sprawił inaczej,
Bo inne marzenie w swoim sercu noszę;

A wtedy, gdy czasami smucę się i płaczę –
To szczęścia dla siebie od losu nie proszę.
Niechaj innym los sprzyja i szczęście ogromne,
Dla siebie chcę życia, nie jakichś snów złotych –
Kto ze snu się zbudził, niech o szczęściu zapomni.
Dla niego już nie ma do szczęścia powrotu!

W swojej twórczości Łesia Ukrainka była i szaloną Ofelią („Pragnęłabym popłynąć w dal na fali...”) i Opętaną z dramatycznego poematu pod tym tytułem (1901), którą „miłość nienawiści nauczyła”, i demoniczną Kassandra wieszczącą zglębę Troi-Ukrainie, i hardą branką rzucającą w twarz zwycięzcy słowa:

Ty mnie możesz nawet zabić,
Lecz nie zmusisz mnie, bym żyła!
(Marzenie, 1897).

W gruncie rzeczy Łesia Ukrainka opiewała zawsze swoją ojczyznę, tylko jej podporządkowała bez reszty swój los i życie osobiste. Była to Ukraina widziana i kreowana najpierw z wątków rodzimych, fragmentów pejzażu Wołynia, Podola, podań, legend, pieśni i baśni, a także z inspiracji najbliższego otoczenia, w którym było aż pięciu twórców (oprócz Łesi i jej matki pisali także dwaj jej bracia i szwagierka).

*Z legendarnych i baśniowych wątków zrodziła się przecież *Pieśń lasu* (1911), łącząca liryzm z tradycyjną wizją spraw ludzkich ukazanych w zderzeniu brutalnej rzeczywistości ze światem poezji, fantazji i piękna tkwiącego w przyrodzie, w ludowych wartościach etycznych i urodzie naturalnego, organicznego życia, nie skażonego cywilizacją pieniądza, przemocy i obojętności.*

Poetycka baśń-feeria skupiła w sobie piękno przyrody ojczystej widzianej oczyma przepelnionych muzyką postaci, oczarowała wołyńskim folklorem, wyraziła marzenia o szczęściu i harmonii.

Ten oryginalny neoromantyczny dramat poetycki utkany jest z fantastycznych a zarazem realnych pierwiastków zaczerpniętych z ludowej wizji świata. W utworze tym poprzez żywioł muzyki i fantazji słychać dalekie odgłosy *Snu nocy letniej* Szekspira i *Ballady* Słowackiego, *Śnieżyczki* Ostrowskiego i *Zatopionego dzwonu* Hauptmanna. Postać Mawki to uosobienie ludowego ideału piękna, prawdy i dobra, to liryczny hymn na cześć ziemi ojczystej, gdzie każda najdrobniejsza roślinka żyje, przemawia, śpiewa, raduje się, cierpi. Sama Łesia Ukrainka w liście do matki wyznała: „A ja nie jestem jednak obojętna wobec tej rzeczy, bo dała mi tak wiele drogich chwil ekstazy jak mało która inna... Wydaje mi się, że po prostu wspomniałam o naszych lasach i zatęskniłam do nich. Przecież od dawna ową mawkę „miałam w pamięci”, od tamtej chwili, kiedy mi w Żaborycy opowiadałaś coś o mawkach, gdy szliśmy przez jakiś las z małymi, ale bardzo gęstymi drzewami. Potem w *Kotodiaznem* w czasie księżycowych nocy biegałam samotnie do lasu (nikt z was o tym nie wiedział) i czekałam tam, aż pokaże mi się mawka. I marzyła mi się nad Niemczymnem, kiedyśmy tam nocowali – pamiętasz? – u wujka Łewa Skułyńskiego... Urzekła mnie ta postać na całe życie.”

Inaczej niż w *Pieśni lasu*, ale przecież także z przejęciem i przenikliwością poetycką, jawi się Ukraina osnuta legendą i wsparta rzetelną wiedzą w innych dra-

matach, poematach dramatycznych, dialogach i monologach pisarki. Ukraina jest tu ukryta, zresztą dosyć przejrzyste, wśród wątków i postaci zaczerpniętych z lektur poetki, poddana próbie dojrzałości społecznej i narodowej. Spowodowało to odwrót Łesii Ukrainki od tradycyjnego pojmowania spraw ukraińskich tylko pod kątem widzenia ukraińskiego chłopą – niemal zawsze był on synonimem ludu i narodu – do problemów, które powinny i musiały nurtować ówczesną inteligencję.

*Rozbudzeniu myśli i emocji narodowych oraz społecznych poświęciła Łesia Ukrainka wiele wysiłku. Po to „kuła słowo”, hartowała je, aby mobilizować ludzi myślących, pokazywała zmagania ludzi wiernych patriotycznemu obowiązкови (dramatyczny poemat *Orgia*, 1913, dramat *Bojarynia*, 1910), szukała rozwiązań społecznych zgodnych z duchem socjalizmu (wiersz *Świątełka przedranné*, dramatyczny poemat *W katakumbach*, 1905). Uciekała się do gorzkich wyrzutów emfazy i skrajnych nieraz emocji nie tylko ze względu na modernistyczną, neoromantyczną czy secesyjną modę i sposób wypowiedzi, przypominający dramatyczną patetykę *Hymnów Kasprowicza*, ale przede wszystkim po to, by rozbijać skorupę obojętności i konformizmu inteligencji ukraińskiej.*

Łesia Ukrainka mobilizowała cały swój talent dramatyczny, całą swoją pasję i wolę, by podobnie jak Żeromski „rozdrapywać rany, aby nie zarosły błoną podłości”, jątrzyć rozleniwione umysły, budzić uspijoną świadomość narodową i przygotowywać do walki chłopów, robotników i inteligencję. Gnuśność, pokora, konformizm, utyskiwania, bojaźń przed radykalizmem czynów, partyku-

laryzmem, połowiczność działań inteligencji ukraińskiej wywoływały jej zjadliwe słowa pokrewne żarliwym oskarżeniom Słowackiego i pełne ironii, jak w wierszu T o w a r z y s z c e n a p a m i ą t k ę (1896):

Paralitycy z nas, choć blasku nie brak oczom –
Duch mocny i mdłe ciało.
U ramion orle skrzydła nam łopocą,
A jarzmo kark skowało.

przełożył Jerzy Litwiniuk

*Wiara w siły narodu, umiłowanie ojczystej historii, kultury i mowy kierowały piórem poetki, kiedy tworzyła cykle wierszy *Pieśni o wolności* (1905), *Rytmy* (1901), *Legendy* (1903) czy *Niewolnicze pieśni* (1895–96). Związek z rodzimą kulturą i kulturą światową określił charakter gorzkiej tragedii *Kassandra* (1908), harmonijność baśniowej *Pieśni lasu* (1911), filozoficzną problematykę dramatów *Wpuszczy* (1909), *Adwokat Marcjan* (1911) czy *Kamienny włodarz* (1912, polski przekład nosi tytuł *Don Juan u jarzmiony*).*

Dramaturgia pozwalała dialektycznie przedstawiać najbardziej bolesne, zdaniem Łesi Ukrainki, problemy ówczesnego społeczeństwa. Poetka zdążyła ku neoromantycznej dramaturgii przesyconej liryzmem i poezją przez ekspansywną lirykę, przez poematy będące zamaskowanymi dyskursami i pełnymi pasji dialogami ścierających się przeciwstawnych racji. Neoromantyczny dramat nasycony poezją i liryzmem, antycznymi wzorcami, aluzjami historycznymi, literackimi, politycznymi układał się w dyskurs o

łosach ojczyzny. Dzięki tym pełnym szlachetnego patosu utworom Łesia Ukrainka zdobyła nie tylko szacunek i uznanie ówczesnych polityków i rewolucjonistów, ale również ludzi sztuki, bowiem wzbogaciła rodzimą literaturę o wartości i źródła nie zawsze na Ukrainie doceniane.

Źródła te odkrywali przed nią Szewczenko i Kulisz, Franko i Drahomanow, a spośród obcych i wielkich – Szekspir, Byron, Goethe, Heine oraz romantycy polscy z Zygmuntem Krasieńskim na czele, a także twórcy współcześni pisarze: Prus, Orzeszkowa, Konopnicka i ulubieni przez autorkę *Pieśni lasu* Stanisław Wyspiański oraz Jerzy Żuławski.

Przyswajając sobie od dzieciństwa-te wzorce, Łesia Ukrainka świadomie nastawiała się na kulturę światową; której częścią była jej rodzima kultura.

Swoją twórczością poetycką, a szczególnie dramatyczną, ostatecznie zdementowała fałszywy sąd o ubóstwie literatury ukraińskiej, przydatnej jakoby tylko „na użytek domowy” i zdecydowanie udowodniła, że nie można myśleć o samoistności narodowej bez uświadomienia społeczeństwu palących problemów podminowanej wstrząsami społecznymi epoki.

Konsekwentna ateistka i materialistka w pojmowaniu spraw rozwojowych społeczeństwa, poetka – podobnie jak jej ulubieni twórcy: Henryk Heine i Zygmunt Krasieński – propaguje ideę działania, przyzywa, aby „uderzyć w czynów stal!”. Uderza nie swą słabą dłonią, lecz siłą nieposkromionego ducha, choć znane jej były także gorczy, rozpacz, gniew, nadzieja i wiara, kiedy pytała:

O, kto postawił mnie na straży smutku
i ruiny? Kto powołał
do budzenia martwych, a z żywymi wzywa
razem kroczyć? Kto mi w serce słabe
dumę włożył? Kto dał odwagi obosieczny miecz?
Kto wzniecił we mnie płomień buntu
i marzeń? Kto rozkaz wydał:
poeto, cierp i trwaj?

Cale swoje świadome życie, dzień po dniu, żyła i tworzyła dla przeszłości Ukrainy.

Polacy mają szczególnie dużo powodów, aby cenić Łesię Ukrainkę, pisała bowiem o naszej literaturze wnikliwie i nieobojętne szkice, tłumaczyła Mickiewicza i Konopnicką, podpowiadała polskie książki wydawcom ukraińskim.

W Polsce przed rokiem 1914, a także w okresie międzywojennym twórczość Łesi Ukrainki była mało komu znana. Utwory jej ukazywały się rzadko. W Antologii i poezji ukraińskiej pod redakcją Władysława Orkana z 1910 roku występuje ona jako poetka swoiście młodopolska. W artykułach i nielicznych przekładach z nieco późniejszego okresu, m.in. w Literaturze powszechniej Trzaski, Everta, Michalskiego, w opracowaniach Bohdana Łepkiego zlekceważono zarówno radykalizm społeczny Łesi Ukrainki jak najcenniejszą część jej spuścizny – dramaturgię. Łesia jest tam poetką współczującą tylko niedoli ludu. Planowane pod koniec lat 30-tych we Lwowie wydanie jej utworów nie doszło do skutku, gdyż wybuchła wojna.

Aż do roku 1971, czyli do stulecia urodzin poetki, o Łesi Ukraince pisano u nas niewiele. Wyjątkiem były

prace Mariana Jakóbca i Władysława Piotrowskiego. Z rzadka tłumaczyli lirykę poetki Kazimierz Andrzej Jaworski i Leopold Lewiń. Dopiero w 1980 roku ukazał się w Wydawnictwie Lubelskim tom *Siedem strun* w wyborze i opracowaniu Tadeusza Chrościelewskiego, a w 1982 roku tom *Kassandra i inne dramaty* (Wydawnictwo Literackie) w przekładzie Stanisława Edwarda Burego z przedmową Wacława Kubackiego i postłowieм Stefana Kozaka.

Tym razem prezentujemy ze spuścizny Łesi Ukrainki „baśń feerie” – *Pieśń lasu* oraz wybrane utwory z liryki społecznej, refleksyjnej i osobistej.

Florian Nieuważny

LIRYKI

SONET

Przyroda ginie – strojna w przepych złoty,
Ostatni uśmiech swój posyła stary,
Słabym rumieńcem rozświetlając mary,
Jak konająca piękność na suchoty.

Niedawno jeszcze, choć miała kłopoty,
Żyła, pracując, szczęśliwa bez miary;
Teraz, gdy wszystkie już rozdała dary,
Umiera cicho... Koniec jej roboty!

I pod listowiem, odchodząc bez słowa,
Kropelki rosy – łzawe samotnice
Przed blaskiem słońca i przed ludźmi chowa.

Skrywa je pilnie, jako tajemnicę
Tych, którzy stają na wiecznym noclegu
W zlodowaciałej, białej trumnie śniegu.

1880

Stanisław Ulłcki

S A F O

Nad morską tonią, na skale,
Siedzi przecudna dziewczyna
Z wiankiem laurowym na skroni
I śpiewać pieśń swą zaczyna.

Tej pieśni, szumnej, rozgłośnej
Wtórzy lireńką śpiewaczą,
A pieśń się rodzi pod sercem
Razem z nieziemską rozpaczą.

Śpiewa o sławie ogromnej,
Śpiewa o smutku wszechświata,
O podłych ludziach, tęsknocie,
Zdradę z miłością przeplata.

Nadzieje – rozpacz... Dziewczyna
Laurowy wieniec odtrąca
I w morza falach wzburzonych
Dopełnia pieśń swą bez końca.

1884

Stanisław Ulicki

MARÍA STUART

Que suis je, hélas!...

Kim jestem teraz, Boże! na cóż mi istnienie?
Jestem słaba, jak serca pozbawione ciało,
Cień marny tylko jestem, któremu zostało,
Jako jedyne z pragnień, mieć śmierci pragnienie.

Po cóż nienawidzicie mnie, której więzienie
Serca władcze zamysły powściągnąć kazało;
Czyż męka ponad siły, to wrogom za mało,
Wkrótce i tak znajdziecie w zemście nasycenie!

Którzy mnie kochaliście – wspominajcie skrycie,
Że niczego dobrego, bez szczęścia niewoli,
Zrobić nie potrafiłam, tak jak długie życie;

Rychłego końca życie nieszczęśliwej doli,
Bo na ile w cierpienia tu żywot opływa
Niech tam, na innym świecie, będę ja szczęśliwa.

1888

Stanisław Ulicki

F A

Fantazjo! mocy czarnoksięskiej pani,
Ty świat stworzyłaś w pustynnej przestrzeni,
Tchnąc duszę w letarg gwiazdowych promieni,
Ty budzisz zmarłych w ich wiecznej przystani.

Ty dajesz życie falom w morskiej pieni!
Wiosnę i radość, idąc, niesiesz w dani.
Fantazjo jasna, przez siebie spotkani
Podnoszą głowy ludzie zrozpaczeni.

Fantazjo, pani lekkoskrzydła, tęczę
Złączyłaś ziemię naszą jak obręczą,
Z krainą marzeń, którąś nam oddała.

Świat z tajemnicą – spięłaś swoją mocą,
Gdyby cię dusza ludzka nie poznała,
Byłoby życie smutną, czarną nocą.

1890

Stanisław Ulicki

CONTRA SPEM SPERO

Precz, wy, myśli pochmurne, jesienne!
Przecież teraz złota wiosna łśni!
Czyżby z żalu, co skargą brzemienny,
Młode lata przeminą jak sny?

Nie, poprzez łąy wesoło się śmieję,
Wśród niedoli śpiewać pieśni chcę.
Wbrew nadziei chcę wskrzeszać nadzieję
I żyć pragnę! Precz dumania złe!

Na ugorze nędznym, kamienistym,
Będę ciągle barwne kwiatki siać,
Będę siać je na mrozie siarczystym,
Będę strugi gorzkich łez swych lać.

I od łez tych gorących roztaje
Kora ziemską skowana przez lód,
Może kwiaty wyrosną jak w maju,
Może dla mnie załśni wiosny cud.

I na górę skalistą i stromą
Będę wtaczać duży, ciężki głaz,
I dźwigając ów ciężar ogromny,
Będę śpiewać przez cały ten czas.

W długiej nocy i ciemnej, i chłodnej
Nie przymrużę ni na chwilę ócz,
Wciąż szukając tej gwiazdy przewodniej,
Co noc mroczną otwiera jak klucz.

Poprzez lzy wciąż wesoło się śmieję,
Wśród niedoli śpiewać pieśni chcę.
Wbrew nadziei chcę wskrzasać nadzieję.
Będę żyła! Precz dumania złe!

1890

Florian Nieważny

GROBOWIEC W BAKCZYSARAJU

Strzał promienistych nawałnica sroga
Pada na cmentarz. Słońcem rozpalona
Jest każda skała, jedyna obrona
Snu prawowiernych, snu poddanych Boga.

Prowadzi do niej zapomniana droga...
Bez ogrodzenia, kwiatów, drzew, uboga
Stoi mogiła. Postać nieznajoma
Na wieki skryła w niej swoje imiona.

Grób odwiedzali piewcy z obcych krajów,
Szukając cienia branki godnej raju,
Lecz inna mara tutaj krąży, krwawa:

Nie, tu nie leży haremów lilija,
Czuła Zarema, czy smutna Maryja,
Bakczysaraju tu spoczywa sława!

1892 (?)

Stanisław Ulicki

BAKCZYSARAJ

Sen nieprzespany trwa Baczysaraju.
Księżyc poświatą złocistą zalewa
Bielone ściany i w blasku rozwiewa
Zakłęte miasto zakłętego kraju.

W krąg minarety, osrebrzone drzewa
Pilnują wiernie uśpionego raję.
W mrocznym, spętanym winoroślą gaju
Cicha fontanna tajemniczo śpiewa.

Powietrze dyszy czarownym spokojem,
Nad sennym miastem, lekkoskrzydłym rojem
Dawne sny płyną, jak piękne marzenie.

Las gibkich topól listowiem szeleści,
Szepcząc powoli ciche opowieści –
Niegdyśszego czasu przypomnienie.

1892 (?)

Stanisław Ulicki

ŚWIATEŁKA PRZEDRANNE

Noc ciemna znużonych jak skrzydłem szerokim
Okryła milczeniem i mrokiem.
Pogasły latarnie i świece;
Sen wiąże powieki człowiecze
Jej, nocy, przemożnym wyrokiem.

Śpisz albo i czuwasz – znaj władztwo jej ciemne!
Szczęśliwy, kto sny ma przyjemne!
Ode mnie ucieka sen miły,
A domy śnią niby mogiły,
Ulice – jak lochy podziemne.

Noc czary roztacza i mami mnie głębią,
A sny niczym chmury się kłębią,
Tak ciężkie, i czarne, i straszne,
A z nimi widziadła dziwaczne
Na piersi usiadły i gnębią.

Nie mogę się podnieść i czuję, jak mdleją
Się resztki pospołu z nadzieją,
Aż raptem ze złych oszołomień

Do życia przywraca mnie promień:
Światełka w ciemności jaśnieją!

Jak pochód zwycięski, co w ciemną dal kroczy,
Promyków rój w krąg się roztoczy –
Nim dzień zapanuje nad dalą,
Światełka przedranne się palą,
To lud je rozniecił roboczy.

Kto żyw, niechaj wstaje, narzędzie w garść chwyta
I nowy dzień pracy powita!
Co z tego, że mglisty dziś ranek –
Światełko swe wynieś na ganek
Zawczasu, nim zorza zaświta.

Różprasza się ciemność, znikają widziadła,
Otucha mym sercem owładła
I odbłask złocisty w nim pełga;
Migocą przedranne światełka
Wzywając: Do pracy! Do światła!

TOWARZYSZCIE NA PAMIĄTKĘ

Nie wiem, kiedy nam, towarzyszek, los pozwoli
 Znów porozmawiać szczerze,
Dlatego na gorąco, to, co boli,
 Spisuję na papierze.

Może po latach będziesz innymi oczyma
 Patrzeć na stare papierzyska
I wzrok błędzący na tym wierszu się zatrzyma,
 I przyjrzy się mu się z bliska.

Przypomni ci się ganek wśród rabatek,
 Cicha noc letnia, gwiazdy spadające,
Pieśni i spory nasze – na ostatek
 Słowa piekące.

I nie żałuję, że twa pamięć ziści
 Tamte uczucia, nienawiść złowrogą.
Ten tylko nie doświadczył nienawiści,
 Kto nie ukochał sam nikogo!

Przypomnisz sobie o udreće,
 Jakiej doznają ludu bojownicy prawi –
Komuż się w pięści nie zacisną ręce
 I serce nie zakrwawi?

Żałuję tylko, że zgaśnie ów poryw
 Jak wszystko u nas – przelotne, ubogie.
Może byśmy szczęśliwsi byli do tej pory,
 Gdyby nas trawił nienawiści ogień?

Na cóż nam miękkość serca, spojrzenie w błękity?
 Cnót olimpijskich nam nie dano.
I cóż może niewolnik poniewierany, bity,
 Powiedzieć swoim panom?

Już lepszy los fellachów i paniasów,
 Bo ci nie wiedzą, co to nadzieja,
A u nas tli się z niepamiętnych czasów
 Pochodnia Prometeja.

Paralitycy z nas, choć blasku nie brak oczom –
 Duch mocny i mdłe ciało,
U ramion orle skrzydła nam łopoczą,
 A jarzmo kark skowało.

Wszędzie dozorczy i klucznicy
 Oczyma – zda się – na wskroś nas przewiercą.
Zali możemy rzec, wzgardzeni niewolnicy;
 „Mój dom jest moją twierdzą”?

Nasza nauka – niczym skarb pod korcem.
 Nasz talent – niczym chłopka pańszczyźniana.

Uśmiechać się i giąć wypadło tej aktorce.
By uprawić w dobry humor pana.

Nasza religia – gusła kapłanów egipskich.
Herhorów rządy mroczne i plugawe.
Jakże cieniutkie więzy łączą bliskich!
Brzęk kajdan dla nas prawem.

Lud nasz jak ślepo narodzone dziecię
Słońca nie widział od zarania,
Gubi obrońców, a wroga, co gniecie,
Posłusznie piersią swą zasłania.

Nasza odwaga to miecz ongiś krwawy,
Rdzą już stoczony dookoła.
Czyjaż go ręka w imię słusznej sprawy
Do góry dźwignąć zdoła?

Cóż z tego, żeśmy niewolnicy,
Że duch skarłały w nas, odwaga kusa –
A kimże byli owi bojownicy
Pod sztandarami Spartakusa?

Ginać w milczeniu – jakże podle!
Miecz zardzewiały, ale ręka zdrowa.
Już lepiej wroga bić na odlew
Tak, by się z ramion potoczyła głowa!

CHWILA ROZPACZY

Nieszczęśni ludzie, zrodzeni w ciemnicy,
Którzy świat zobaczyli przez okno więzienia,
Nakreślonego klątwą czarownicy
Koła nie do rozbicia, nie do przekroczenia.

Nieszczęsne oczy, co od pierwszej chwili
Na wilgoć zwykły patrzeć, na pleśń, na kamienie,
Którym się wszechświat z własną całą myli,
A z szarym murem – nieba zachmurzenie!

Nieszczęsne ręce, które od młodości
Ciężarem rdzawych kajdan były niewolone!
Ręce, którym ślad więzów, zdjętych na wolności,
Przypomina stale o tym, czym są one.

Nieszczęśni ludzie o uczciwej duszy! –
Nawet jeżeli jeszcze wierzą w swoich bogów,
Modlić się muszą, by moc nieba wzruszyć:
„Ześlij nam, Panie, choć uczciwych wrogów!”

O my, nieszczęśni! Giń czi, giń sumienie,
By ta więzienna ściana została zburzona!
Aby upadła! Niechaj jej kamienie
Pokryją nasze ciała i nasze imiona.

1896

Stanisław Ulicki

ANIOŁ ZEMSTY

Wśród mroku tajemniczej, ciemnej nocy
Przylata do mnie często dziwny gość,
Spojrzeniem nieci trwogę, złość,
Jak błyski Marsa krwawo lśnią mu oczy.

I do mnie się uśmiecha straszny goniec,
W uśmiechu tym nienawiść, miłość wre.
Na jego białych skrzydłach widzę krew,
Co niby szkarłat zórz na śniegu płonie.

Przemawia do mnie wzniosłe, w strasznym gniewie,
W mocarnym ręku miecz ognisty drży,
Zaś w moim sercu jak bojowy krzyk
Wzbierają niepojęte dzikie śpiewy.

„Słowa, słowa, słowa! – mój gość się odzywa –
Jam anioł zemsty, czynów, a nie – słów,
Wiedz, że twój śpiew nie obcych wojów huf,
Lecz ciebie samą na bój będzie wzywał.

Daję ci ten miecz, choć nie silnaś – tuszę,
Mój miecz nie ciężki dla odważnych rąk.
Wszak się nie boisz śmierci, kary, mąk,
Ty, coś tak zawsze była wolną duszą?”

Swój miecz mi daje, biorę w ręce obie,
Lecz nie słuchają moje ręce coś
I znika z serca gdzieś zapiekła złość:
„Idź precz – powiadam – ja nie pójdę z tobą.

Nie żal mi życia, lecz żal mi człowieka,
Co żyje we mnie, w innych żyje też.
Gdy go zabiję, karz za grzech i wierz,
Że nie chcę nigdy tej hańby doczekać!

Cordé – twa sługa, odważna Normandka,
W tyranach zło widziała cały wiek,
Lecz i w tyranie ujawnił się człek,
Gdy nad zabitym załkała kochanka...”

Znikł gość północny, lecz wzrok ten i słowa
Wyryły w sercu krwawy, straszny ślad,
W dzień nawet gość ów maści oczu ład,
A duszę nęka przerwana rozmowa...

FIAT NOXI

„Niech się stanie ciemność!” – rzekł nasz ziemski bóg.
Stała się ciemność, zapanował chaos
Jak przed stworzeniem świata. Nie, straszniejszy
Był chaos ów, albowiem żyć w nim miały
Żywe istoty, ciemność je gnębiła.
Z chaosu wstrętne zjawy wypęzły:
Strach, głód, niedola, morowe powietrze.
Nieludzki strach zamrażał wszystkie dusze:
Dotrącał nawet tych najodważniejszych,
Kiedy słyszeli lament, krzyki głodu
Dolujące niby z dna morskiego
Ze skłębionego tłumu, który zdał się
Cząstką owego groźnego chaosu
I jego głosem. Czasem dobiegały
Krzyki z ciemności: „Światła! Światła! Światła!”
A w odpowiedzi dudnił głos donośny
Ziemskiego boga z wysokości tronu:
„Niech się stanie ciemność!” I znów chaos trwał.

Niejeden spadkobierca Prometeusza
Bezcenną iskrę niebiosom odbierał

I mnóstwo rąk się po nią wyciągało
Niby do gwiazdy, co drogę wskazuje.
Rozsypywała się ta wielka iskra
Na miriady drobniutkich iskierek
I każdy niby skarb tę iskrę chował
W popiele z dawien dawna już ostygłym.
Iskra nie gasła, tliła się w mogile,
Nie darząc jednak ciepłem ani światłem.
Śmiałego zaś potomka Prometeusza
Czekała straszna dola jego przodka:
Wygnanie, męki, szyderstwo, kajdany
I zgon przedwczesny na pustkowiu dzikim.

Do dzisiaj jeszcze ciemność trwa, o bracia.
Przemówcie słowo! Strasznie w tym chaosie!
Słyszałem przecież głosy mężne, wolne,
Huczały głucho niby echo w lesie,
Teraz zamilkły i gniecie ta cisza,
Przeraża bardziej, niż to było niegdyś.
O bracia, potomkowie Prometeusza!
Nie orzeł wam rozszarpał piersi dumne –
Ohydne żmije wżarły się wam w serce.
I nie przykuto was do skał Kaukazu,
Co lśni z daleka swoim śnieżnym czołem,
Wieści o więźniu ludziom przekazując.
O, nie, zaryliście się w ziemi. Stamtąd
Nie słyhać nawet brzęku kajdan, jęków,
Ni buntowniczych słów...

Królu ciemności!
Nasz znieprawiony wrogu! Przecież ty się

Lękasz tych kajdan żelaznej muzyki!
Boisz się, że brzęk ich groźny i posępny
Może kamienne nawet skruszyć serce.
A czymże ty przytłumisz dziki odgłos
Chaosu, mroku, głodu i nieszczęścia,
I rozpaczliwego o światło wołania?
Na nie się zawsze niby echo w górach
Odezwą głosy odważne i wolne.
„Niech się stanie ciemność” – rozkazałeś –
Lecz to zbyt mało, by chaos zagłuszyć
I unicestwić, zmiążdżyć Prometeusza.
Jeśli władasz taką bezmierną potęgą,
To wydaj wyrok ostateczny:
„Niech się stanie śmierć!”

1896

Florian Nieuważny

*
* *
*

Słowo me, czemuś ty nie z twardej stali,
Co w walce miota iskry tak wspaniale?
Czemu nie jesteś bezlitosnym mieczem?
Co ostrzem – głowy nieprzyjaciół siecze?

Tyś moją klingą hartowane słowo,
Wydobyć z pochwy jam ciebie gotowa,
Lecz tylko z mego serca krew wytoczysz,
A w sercu wroga krwią się nie ubroczysz!

Wyostrzę oręż, co będzie skry miotał,
Ile sił starczy i zwoli ochota,
Potem na ścianie go sobie powieszę
Ku swej żalości, ku waszej uciezce...

O, słowo, słowo, jedyna ma zbrojo,
My nie zginiemy na próżno oboje!
Może ty w ręce nieznanego brata
Staniesz się mieczem karzącym na kata.

Klinga o kajdan żelazo zabrzączy,
Aż echo w twierdzach tyranów zajączy,
Spotka się z brzękiem braterskich oręży,
Z nowych słów dźwiękiem, z pieśnią wolnych mężów.

Silni mściciele wezmą zbroję moją
I z nią się rzucą odważnie do boju.
Zbrojo ty moja, służ wiernie walczącym,
Lepiej niż służysz moim rękom drżącym.

1896

Kazimierz Andrzej Jaworski

ROMANCA

Nie wypatruj miesiąca na niebie,
Bo ciekawski ten miesiąc wiosenny,
Chciwy słuchacz, podglądacz bezsenny
Jakże często widział mnie i ciebie,
Słyszał słowa twoje jak szmer wiatru.
Chciałbyś je zapomnieć? Nie wypatruj,
Nie wypatruj miesiąca na niebie.

Nie przypatruj się brzozie płaczącej,
Bo ta brzoza w gałęzi łopocie
Znów przypomni o serca kłopotcie,
O tęsknocie przypomni palącej,
Co zbratała nas – a ty ból zatruj,
Nie wspominaj tych dni, nie wypatruj,
Nie przypatruj się brzozie płaczącej.

1897

Jerzy Litwiniuk

*
* *
*

Pamięci S. M.

I nie skończona przerwana rozmowa,
Drgająca jeszcze w sercu, niedaleko
Zerwaną struną. Od jednego słowa
Zapadło w duszy mej trumienne wieko.

By chmur dosięgnąć, jak olbrzym powstała
Tęsknota skuta dręczącym koszmarem,
Żal niczym przybój oceanu pała
Huczącym, strasznym, gwałtownym pożarem.

Ten pożar, dając innym ową siłę,
Która Bastylie jest burzyć gotowa,
Która wolności niesie czucie miłe,
We mnie wyzwala tylko słowa, słowa!

Nie, przyjacielu! ja milczeć nie mogę,
Taka już klątwa nade mną spoczywa.
Muszę tęsknocie słowem przebiec drogę,
Słowem dźwięczącym jak myśl rozpaczliwa.

Czas głuchoniemy zagłuszyć nie może
Grających myśli, zdanych dźwiękom, dźwiękom;
By głos kajdanów ozwał się w przestworze,
Niewolnikowi starczy ruszyć ręką.

Więc niechaj dzwonią rozgłośnie kajdany,
Nie zagłuszone, aby się rozniosły
Stukrotnym echem, rozjątrzyły rany
W sercach człowieczych, które mchem porosły.

Niech brzęk kajdanów na próżno nie woła,
Gdy w śpiące serca jak Perun uderzy.
Niech się zachmurzą wstydem gładkie czoła,
By nie czekały zbroje na rycerzy.

Aby te zbroje, do walk zgotowane,
Tak zahuczały jak chmura gradowa,
Jedynie wtedy umilkłyby same
Brzęki kajdanów i te oto słowa.

1898

Stanisław Ulicki

*
* *
*

Zawsze wieniec cierniowy
dostojniejszy niż carska korona.
Zawsze droga wspanialsza
na Golgotę niż wjazd triumfalny.
Tak było przed wiekami
i tak będzie po wieki wieków,
dopóki ludzie żyją
i póty rosną ciernie.

Ale stanie się wieńcem
wtedy tylko plecionka cierniowa,
kiedy wolność wielbiący
z własnej woli uwieńczy się cierniem,
dumnie i śmiało zrzuciwszy
z siebie mizerne błyskotki,
wyższego piękna świadomy
niż to, co krzyczy na placach:
„Hej, dobrzy ludzie, chodźcież!
Ja każdemu chętnie się oddam!”

Lecz droga na Golgotę wzniosła
wtedy jest, kiedy wie człowiek,
kędy i na co prowadzi;

nie pragnie innych triumfów
i świadom wielkości wznioślejszej
niż ta, co grzmi z wyżyn tronu:
„Ja, z bożej łaski car,
bom zasiadł, spójrzcie, na tronie!”

Bo gdy bez męstwa i woli
ktoś cierniem da się kałeczyć
tylko dlatego, iż sił
brak mu, by ciernie odtrącić –
takiemu, o Boże, oszczędź
krwi, co cierń tylko napoi!
Niechże już lepiej na licu
luby rumieńczyk nasili
ciesząc oczy patrzących
w święto wiecznej beztroski!

Krzyż Prometeja dobiega
przez bezlik wieków na ziemię
i stale zagłusza sobą
potężny grom olimpijski.
Tysiące tronów upadło
boskich oraz człowieczych,
lecz owa turnia tyrana
piętrzy się niczym twierdza
ducha, co niby huragan bez jakiegokolwiek przerwy
iskrę skradzioną z nieba
w ogromny roznieca płomień.

Wspanialej brzmia przez huragany
zszarpane struny,

niżli pod mistrza palcami
harfy srebrzystostrunne
dokładnie nastrojone
do dytyrambów oblesnych.
Tak było przed wiekami
i tak będzie po wieki wieków,
dopóki żyją ludzie
i póty dźwięczą struny.

Albowiem krzyk Prometeja
na strunach zdolne są wygrać
dłonie takiego, co w sercu
strzeże swej iskry niebieskiej,
jest z rodu prometejskiego
i spadek po przodkach waży,
ceniąc piękno odmienne
od tego, co na jarmarkach
ręce do bębna przywabia
i nogi do susów obłądnych.

Prometeusza wnuk późny,
wzgardziwszy struny drogimi,
palce do krwi pokaleczy
o struny zwyczajne, z jelit,
lecz pojmie serca szlochaniem
tych strun niewymowne żale
i znając wybornie cenę
muzyki, muzyków i strun,
złota szczerego swych pieśni
za harfę złocistą nie odda.

1900

Tadeusz Chróścielewski



I ty walczyłaś Ńngi, Ukraino,
jak ów Izrael, ten sam Bóg postawił
przeciwko tobie tężę moc zbójecką
ślepego losu. I osaczył kręgiem
ludami, które niby głodne lwy
ryczą złańnione twojej krwi. I zesłał
ciemność na ciebie gęstą, że brat brata
nie mógł rozpoznać rodzonego, wtedy
zjawił się czasu duch niezwyćezony
i wołał: „Śmierci, ukarż Ukrainę!”
Na to się wzniosła prawica Bohdana
i przysły wrogi jak stado szakali,
brat poznał brata i padł mu w ramiona.
I rzekł duch: „Tyś jest zwyciężcą, Bohdanie,
i twoja będzie Ziemia Obiecana.”
Tedy przemierzył Bohdan ziemię swoją
z kraja do kraja i zawarł przymierze
z duchem, i było huczne uctowanie
w mieście o złotych kopułach, gdy nagle
duch zdradził wodza: ciemność, strach i rozbrat.
I znowu przyszyła egipska niewola,

a nie na obcej, lecz na własnej ziemi.
Znowu rozlało się Morze Czerwone
i rozstało na dwie strony strome,
i znowu zwarło, ażeby zatopić
kogóż? O, nędzo! Kolejny faraon
przeszedł bezpiecznie po suchym dnie morza,
co konia z jeźdźcem pożarło jak swego.
Tańcz, nienawistna, śpiewaj, cudzoziemko,
wal w barabany, ciesz się jak szalona:
kon z jeźdźcem w Morzu Czerwonym utonął,
zostawił tobie dziedzictwo bogate,
już znosisz z ziemi skarby Ukrainy,
świętujesz pyszne nad siostrą zwycięstwo.

To była nasza ucieczka z Egiptu,
to był nasz Potop. Zagrało i ścichło
Morze Czerwone, wyschło i została
smętna pustynia, po której się błąka
nowy Izrael, po tej Obiecanej,
jak stado owiec, gdy straci pasterza.
Brodzi za stadem pastuchów gromada,
ciemnych w ciemności, z pochodnią, gdy dnieje,
a gdy się zjawił wśród nich duch wielkości
płonąc w ciemności jak ognisty krzak,
za dnia przyjmując kształt białych obłoków –
nie chcieli wierzyć nawet własnym oczom
i szli w rozsypkę po manowcach kraju
i popadali w niewolę na nowo.

Długoż, o Boże, jak długo to potrwa –
nasze błędzenia i poszukiwania
na własnej ziemi – ojczyznie kraju?
Czymże zgrzeszyliśmy przeciwko tobie,

żeś złamał swoją wielką obietnicę
daną nam w polu, o, duchu wolności?
Zdradziłeś, knujże swą zdradę do końca,
rozsej nas na świat, rozbij do ostatka,
wtenczas, być może, poznamy tęsknotę,
zaczniemy szukać, gdzie leży ta ziemia,
myśleć, jak znaleźć ją. I wskaże ojciec
synowi srebrny zwid w dalekiej dali
i powie: „Oto ziemia ojców twoich!
Walcz i dobijaj się swojej ojczyzny
albo ci przyjdzie zmarnieć na wygnaniu
jak cudzoziemce konają w niesławie.”

Może się nowa zdarzy obietnia
i duch nam nowy wykuje dekalog.
Lecz jeszcze ninie? Jakże mamy szukać
ziemi dla ludu swojego? Kto rozbił
tablice serc i wiarę w przepowiednie?
Kiedyż się skończy ta długa niewola,
co nam przypadła w ziemi obiecanej?
Jak długo kraj ten będzie nam Egiptem?
Kiedyż przepadnie ten nowy Babilon?

1904

Bohdan Drozdowski

III

Gdyby udało się promienie złote
w struny jakimiś czarami przemienić,
ja bym z nich harfę złocistą zrobiła –
jasne w niej byłyby struny i dźwięki:
każda melodia, co na innych strunach
dźwięczy jak gdyby głos burzliwej nocy,
dźwięczałaby na mojej złotej harfie
piosenką, co rozbrzmiewa tylko w snach
dzieci szczęśliwych. Smutki by odbiegły
od dźwięków tych w dalekość nieskończoną,
jak białe mgły na wskroś przeszyte słońcem,
co z dala połyskują niby złoto,
i zdają się nie chmurą, lecz marzeniem.
I wszystkie żale, w harmonię złączone,
zabrzmiałyby jak chóry w empireach.

1900

Leopold Lewin

IV

Pragnęłabym popłynąć w dal na fali
jak Ofelia szalona w mirt przybrana.
A pieśni me płynęłyby mi w ślad
falując, mknąc, jak te przezyste wody
wciąż dalej, dalej...

Lazurowe prądy
jedwabiem fal spowiłyby me ciało,
kołysząc mnie do snu, jak to marzenie,
tak cicho, cicho...

Wówczas, zbywszy woli,
tonęłabym w spowiciu bez oporu,
ze śpiewem, już zaledwie dosłyszalnym,
murzając się w błękitne, jasne wody
wciąż głębiej, głębiej...

Potem, by na fali
pozostał dźwięk, nieznaczone, słabe echo
mych pieśni, tak jak mrące przypomnienie
prastarych klechd, śpiewanych bardzo dawno –
w nich było coś z dymiącej krwi i smutku,
Lecz któż je zna? Ta pieśń rozgłośnie brzmiała
tak dawno, dawno...

Potem zmiłkłby oddźwięk,
na fali wód w dal płynąłby już tylko
zielony mirt, co ze mną wraz nie poszedł
na dno... na dno... Hen, mknąłby on, aż wreszcie
dopłynąłby do cichych, modrych stawów –
na wodnych tu bieg wstrzymałby lilijach.
Płaczące w toń schylałyby się brzozy
żałobnych swych splecionych rąk żałobą;
z nadziemskich sfer rosiłby na lilije
i na ten mirt, co rwałam go szalona,
kojący spokój...

1900

Sydir Twerdochlib

...Daremny trud! Nigdy ujarzmić nie zdołam
 tej pieśni szalonej, co z żalu powstała,
 ni maski założyć na nią nie potrafię,
 ni w suknię weselną odziać jej nie mogę –
 wznosi czarne skrzydła, niby ptak drapieżny,
 i rani, gdy tylko spróbuję ją siłą
 okiełznać i spętać. Hej, szalona pieśni!
 I w kogo się wdałaś taka niepokorna?
 Więc patrz, jak się śmieję, choć serce me płacze,
 lecz głos i spojrzenie posłuszne są woli,
 bom cicha, spokojna. A ty – niby wichur!
 Ulatasz swobodnie i wszystko ci jedno,
 czy ogień napotkasz i wzniecisz pożary,
 czy z falą się zetkniesz i runiesz na burzę,
 czy mroczne obłoki zatopisz w chaosie,
 czy nędzną lepiankę – ostatni przytułek –
 gwałtowną lawiną potoczysz w przepaście –
 wszystko ci jedno! Niech ten sobie płacze,
 kto iskrę tlejącą zostawił na drodze,
 kto czołno powierzył niepewnej głębinie,
 kto w drogę wyruszył i błądzi po nocy,
 kto nędzną lepiankę – ostatni przytułek –
 postawił wysoko na skraju przepaści –

wyrosły ci skrzydła, a więc musisz lecieć!

Tyś wolna, wolna, moja pieśni! Lecz nie wiem,
szczęście czy też лихо przyniesie ta wolność,
jeszcze nie zdążyłam odkuć dla niej kajdan,
wciąż jeszcze nie wiem, skąd na nie wziąć żelazo
i na jakim ogniu dałyby się odkuć?
Tego jestem pewna – kto chce kuć, niech kuje –
słuszny czas nadejdzie i – pękną kajdany.
I ocknie się wówczas ta pieśń wyzwolona,
i niby szloch-lament wyrwie się z niewoli
to, co poskramiane, tak długo tłumione
w sercu się tało.

Nie proście pociechy
wy, coście smutni, ani ukojenia.
Nie ma wszak w tej pieśni żadnej łagodności.
Z rozpaczy i smutku ta pieśń się zrodziła,
za żal utajony dziś zemścić się pragnie
ogniem, jadem, mieczem obosiecznym smutku.
Jeśli czujecie lęk, to precz zejście z drogi!
Niechaj się przetoczy ta pieśń w samotności
niby wichura przez morze lodowate.
Nie domaga się łez, pociechy, współczucia,
potrzeba jej tylko wolności, przestrzeni.
Tak oto szalenieć wolność swą zdobywa,
by pędzić na oślep w nieznane, aż zginie...
Leci pieśń szalona – strzeżcie się tej pieśni!
Bo żal nią ma rozwagi, umiaru – jak śmierć!

VI

Gdyby moja krew wyciekła z żył
 jak słowa! Gdyby życie moje
 zniknęło, jak znika światło
 przed wieczoru nadejściem powolnym!
 O, kto postawił mnie na straży smutku
 i ruiny? Kto powołał
 do budzenia martwych, a z żywymi wzywa
 razem kroczyć? Kto mi w serce słabe
 dumę włożył? Kto dał odwagi obosieczny miecz?
 Kto wzniecił we mnie płomień buntu
 i marzeń? Kto rozkaz wydał:
 poeto, cierp i trwaj?
 Jaka moc przykuwa mnie do tego rozkazu?
 Czemu z pola bitwy nie mogę ustąpić?
 Lubię pierś znużoną własnym mieczem przebić?
 Co nie pozwala wyrzec słów prawdziwych:
 Losie, silniejszy jesteś, więc się korzę.
 A jednak na myśl o słabości
 ręka zaciska oręż niewidzialny
 i w sercu żądza walki potężnieje.

VII

O jakże ciężko wędrować tym szlakiem
szerokim, bitym, kurzawą pokrytym,
gdzie wszyscy ludzie stadem się wydają,
gdzie nic nie rośnie – kwiaty ani ciernie!
Wabi z daleka ten szczyt i przyciąga,
bo tak się złotym rozpała pożarem!
Tak nieodparcie pragnęłabym zatknąć
tam hen, wysoko, czerwoną chorągiew,
gdzie nawet orzeł nie śmie gniazda uwić!

Jakież mnie pali gorące pragnienie,
by pójść tam śmiało przez piach i wądoły,
posłuchać gwaru górskiego pustkowiec,
zajrzeć w tajemną i bezdenną głębię,
z wartkimi potokami się posprzeczać,
pomiędzy lody dziewicze się dostać
i w górach zbudzić echo swoją pieśnią!
Niech przewodnikiem będzie mi chorągiew,
póki na szczycie hen nie załopoce,
walcząc z górskiego wiatru porywami.

Gdyby spotkała mnie w połowie drogi
groźna lawina i jak los bezwzględny

na głowę spadła, wtedy i ja runę
na śnieg ten górski jak na białą pościel.
Niechaj nie płaczą po mnie smutne dzwony,
niech mi zaśpiewa wolny, huczny wicher,
niechaj swawolna zamieć zawiruje,
niech się zaroją śnieżne gwiazdy wkoło,
niechaj mi zamkną zimne pocałunki
me gorejące, nierozważne oczy...

1901

Florian Nieważny

VIII

Czemu nie mogę ulecieć wysoko,
tam, nad te szczyty, wystrojone złotem,
gdzie miesiąc chmurkę bielutką prześwietla?
Ja byłam świadkiem narodzin obłoku:
wychynał on z potoku smerliwego
białawą mgielką, oparem bez barwy
i cicho zachybotał nad wodami,
i wpełził w głęboki parów, potem w górę
wzniósł się powoli i z niejakim trudem
po skłonie górskim wspinał się. Zaczepił
o czuby smreków zielonych na reglach
i o występy beztrawiastych urwisk,
i nad koliby nad połoninami
wdarł się jak człowiek, który z wielkim trudem
wysokość pokonuje. Pokonawszy,
tam na wierzchołku do nowiu posyła
uśmiech jakoby dziewczę złotowłose.
Zajaśniał obłok lekki i przejrzysty
niczym marzenie. Któż by w nim rozpoznał
tę ciężką, wilgną i bezbarwną chmurę,
co przez dolinę sunęła tak ciężko?

Hej, góry, góry, szczyty wyźłoczone!
Cóż mnie tak do was pcha z przemożną siłą?

Dlaczego kocham was tak przeogromnie?
Czyżby nie było mi sądzone dotrzeć
na wasze niedostępne wysoczyzny?
Jeżeli mi nie dano skrzydeł mocnych,
abym orlicą poszybować mogła
het tam, wysoko, nad najwyższe szczyty,
to ja dla siebie pragnę łąz potoków,
nagłych, gorących i niepowstrzymanych,
co by wybiły się aż spod dna serca
jako z krynicy owej żywej wody.
Niechaj z nich dusza się moja narodzi
i w ciężkiej męce uniesie się w górę
na owe szczyty wiecznie rozjaśnione,
co się majaczą w dali stale oczom,
tak niedostępne jako tamte góry,
na które wlatam jedynie w marzeniach.
Może by wówczas dusza, ten obłoczek,
na wysokościach doznała odmiany,
po brzegi nasycona górkim światłem.

1901

Andrzej Szymański

*

* *

Oj, pójdę ja w bór przepastny, do suchego smreka
I rozpale jasną watrę, widoczną z daleka.

Zapłonęła przy smreczynie i smolna jedlina:
Rozpalił się mój smuteczek jak smolna choina.

Rozhuśtał się mój smuteczek z ogniem na przestworze,
Rozsypując żartkie iskry, niczym jasne zorze.

Jak upadnie z góry iskra, niby gwiazdka z nieba,
I jak trafi w samo serce – oj, zapłakać trzeba...

Leż, smuteczku, spocznij sobie w moim sercu cicho,
Będę cię kolebała, aby spało lichy.

Tul się, przyłgnij do serduszka, jak dziecina bliska,
Będzie cię kołysała wygodna kołyska:

Żywa krew cię ukołysze, ciepłem swym spowije...
Oj, śpij dziecię, w dzień i w nocy, póki serce bije!...

3

OŚTATNIE RÓŻE

Och, rozkwitły te róże czerwone
jesienią i jak rany płoną,
tak żałośnie dygocą i krwawią –
czego pragną: szczęścia czy zgonu?

Nie osypią się cicho te kwiaty,
nie czeka ich żywot szczęśliwy,
nie, mróz je zwarzy przed wschodem słońca
i zadusi żywe porywy.

I szernieją te róże czerwone
niby w ranach krew zapieczona...
Niechże się choć słońca napiją,
póki ich mróz nie pokona!

Florian Nieuważny

PŁACZ JEREMIASZA

„Jak złoto ściemniało —
zmieniło się srebro przezyste!”

Jeszcze listowie suche tak niedawno jaśniało...

„Jak złoto ściemniało!...”

Niby oko ślepe, marzy jezioro mgliste...

„Zmieniło się srebro przezyste...”

Coś dawnego tak smutno w duszy cicho zabrzmiało...

„Jak złoto ściemniało!...”

Jakiś ból ścisnął serce, straszny, uroczysty...

„Zmieniło się srebro przezyste...”

1902

Florian Nieuważny

FANTAZJE EGIPSKIE

I

SFINKS

Dawnymi czasy w słońcu południowym,
Wśród rozpalonej milczącej pustyni,
W martwym przestworze okrutnego losu,
Z beznadziejności w duszy niewolnika,
Którego rozpacz dosięgła zenitu,
Zrodził się miraż, co twórczą potęgą
Wzniósł się nad władzę wielkich faraonów.
Kazał rabowi wlec ogromny kamień,
Gorącą skałę pustyni libijskiej,
I wykuć w niej dziwaczne wielkie monstrum –
Zagadkę wszystkich dziejów dla potomnych.

I począł ciosać rab gorącą skałę.
Ogniem pałało wszystko w czas tworzenia –
Rylce i kamień, ziemia i niebiosy,
I serce mistrza. Niczym żar popiołu
Spod rylca sypkie leciało kruszywo.
Powoli z piasków rozżarzonych słońcem

Stwór się wyłonił. Na kształt żywej bestii
Ogromne cielsko leniwie rozpostarł
Lew zagadkowy o głowie człowieczej.
Dumnie wzniesione kamienne oblicze
Wzrok nieruchomy utkwiło przed sobą –
Na ustach uśmiech złowróźbny się błakał.
A wzrok i uśmiech ów straszliwsze były,
Niżeli słońce zabiójcze pustyni.

I oto monstrum uczyniono bogiem,
Jemu świątynie stawiano wspaniałe
Z kolumnadami. Zaś na barkach strojnych
W kwiaty lotosu – słano mu ofiary.
Legendy o nim układać poczęto,
Barwione krwi purpurą i bojaźnią.
Śpiewali o nim pieśni swe poci,
Uczenni budowali piramidy
Z ksiąg, co rozwikłać miałyby zagadkę
Oczu tajemnych i złowróźbnych ust.
Na ustach było wypisane imię
Owego bóstwa: Słońce, Los i Prawda,
Miłość i Życie – nieskończoność imion...
Mocniej od innych odcisnięte – Sfinks
Jak owo monstrum – zagadki pieczęcią.

1900

Waldemar Gajewski

II

R A-M E N E I S

Ra-Meneis – faraonów córka i dumna władczyni,
Była piękna i straszna jak wąż jej złoty Ureus,
Co oplatał podwójnym wieńcem obydwaj Egipty.
Czoło miała z diamentów, a oczy jak ciemne rubiny.
A natura jej była jak wody Nilu podstępne,
Które biorą początek w źródłach nie znanych nikomu.
A była jej władza jak Afryki słońce ogromne,
Niby samum potężny w pustych ruinach świątyni.
Cały Egipt zawodził głosem dźwięczącym na piaskach,
Kiedy składał królowej hołdu najwyższą ofiarę.
Czasem głos, poruszony, zagrzemiał jak lew łańcuchami,
Głuchy pomruk jak ogień burzył się w głębi podziemi,
Jakby górę kamienną dźwigał na barkach strudzonych.
Ale ledwie królowa wyszła przed ludu oblicze,
Diamentowe jej czoło dumnie zaisniło i ledwie
W ciemnopiwnych jej oczach rubiń się lekko zaiskrzył. –
A już lew jej narodu kładł się u stóp jej pokornie,
Zaś królowa z uśmiechem sfinksa na grzbiecie mu siadała.
Ra-Meneis i w świątyniach władzę dzieliła z bogami,
Posąg każdej bogini do niej podobny być musiał.
Ręce mistrzów w pustynię wokół Egiptu wsiedliły –

Lud tak pragnął – posągi z dumnej władczyni obliczem,
A na harfach egipskich nikt takiej struny nie słyszał,
By na chwałę królowej – pani Egiptu – nie grała.

Ra-Meneis piramidę swą w pustyni wznosiła –
Więcej ludzi niż skał pod żarem słonecznym tam legło.
Szczytu jednak nie sięgnął królewski grobowiec –
Ra-Meneis nie powstała była z purpury posłania –
Weszła słońcem na niebo, kiedy przemówił Ozyrys.

I leżała królowa w płótno spowita i balsam,
Jakby z kości słoniowej – z bladozłocistym obliczem.
Nad jej czołem, jak pierwej – lśniła Egiptów korona –
Połyskiwał podwójnym wieńcem wąż złoty – Ureus.

Położono królową w barce czerwonej i lekko
Kołyszący falami w podróż daleką ją poniósł
Żółtowodny bieg Nilu – wody najświętsze i mętne.

Biel oblekli kapłani, w sistra srebrzyste dzwonili,
Chóry czarnych niewolnic płacze podniosły i lament –
Szaty darły na sobie, aż gęstniejącą czerwienią
Krew kapłała do Nilu, barwiąc kroplami żółć wody.
Wtórowały im harfy – śpiew Egipcjanek żałobny,
Kwiat lotosu błękitny chylił się, więdnąc, ku fali,
I płynęła wciąż barka słońcem czerwonym na zachód.

Aż przybiła do brzegu. W dali widniały wysokie
Piramidy królewskie. Orszak prowadził władczynię,
Aż się zwałił na nią lud – jak lew wyzwolony

[z łańcuchów!

Przepędzono kapłanów, topić jął lud niewolnice.
Egipcjankom wyrwano harfy, połamano w drzazgi,
Kwiat lotosu zdeptano, barwę spalono na stosie,
Rzucił lud swą królową w piaski pustyni dalekie.
Tam jej wichry co roku nową sypały mogiłę,

Słońce balsam ognisty lało na córkę umarłą.

Mijał czas. Nad Egiptem wieków korowód upłynął.
I obrócił w ruinę królów grobowce wspinałe.

A imiona ich władców poszły w niepamięć u żywych –
Rabowały bezbożne ręce świątynie i groby.

I dotknięte nie raz ludzką ręką, powietrzem i słońcem
Szczątki ciał tysiącletnich w proch się zmieniły na zawsze.
Potomkowie bezmyślni z mumii nicości zadrwili...

Raz na północ szła karawana odprawić za morze
Zrabowany z grobowca skarb faraonów bezcenny.

W karawanie na czele pusty wieziono sarkofag.

Błyszczał w słońcu kamieniem – czarnym, jak brąz

[rozpalonym,

A wielbłądy w mozole niosły gorący ów ciężar.

Raptem pierwszy poganiacz potknął się o coś,

[przystanął,

A gdy spojrzął pod nogi, krzyknął rażony przestraczem –

U stóp jego wąż złotołuski do skoku się przeżył!

Oczy gada płonęły – krwawoczerwonym rubinem!

„Na Allacha! – zawołał szejek, który wiódł karawanę. –

Toż to złoto prawdziwe, oczy – to, drogie kamienie!”

Odkopywać jął z piasku węża błyszczące oploty,

Aż tu nagle zalsniło niespotykane zjawisko:

Ra-Meneis oto w złotej podwójnej koronie

Ukazała oblicze, długie przetrwawszy stulecia.

Zdało się, że tajemnie drgnęły przymknięte powieki,

Blade usta leciutki uśmiech złowróźnie wykrzywił.

Złękli się poganiacze, niemo wpatrzeni w królową.

Tylko szejek prawowierny spokój dostojny zachował,

On nie lękał się niewiast – żywe spotykał – czy martwe

Zwykł jedynie im cenę wystawiać na gwarnych bazarach,

Toteż myślał: Niewiele w naszej krainie jest warta,
Za to giaur szalony monet brzęczących nie skąpi.
Przeto kazał ostrożnie podnieść ją z piasku pustyni,
A złożywszy w sarkofag, złoto królowej zachować.
Niczym łoże królewskie trumna czerniała ogromna,
Kiedy olśnił ją blaskiem wąż złotołuski Ureus.
Ale wieko opadło, trumnę zamknęło na głucho –
Nie ujrziała już nigdy królowa promieni słonecznych.

Karawana przez piaski sznurem ku morzu ruszyła,
I bez przeszkód do portu na ludne dotarła wybrzeże.
Nie omylił się szejk – bo oto brzęczącej monety
Nie poskąpił ów giaur szalony za panią Egiptu,
Hen, na północ ją powiózł, morzem popłynął szerokim.

Na północy odległej, w miejscu usłanym oparem,
Gdzie, jak górskie potoki, życie się chłodem przetacza,
Człowiek dźwignął świątynię – bogów potężny grobowiec,
Wielki gmach, gdzie spoczęli władcy sprzed wieków
[minionych.

Ale bóg tu przestawał być bogiem – umierał w tych
[murach,
Żył tu wieczną nadzieją, że zmartwychwstanie na powrót.
Tutaj miała spoczynek znaleźć wyniosła królowa.

Dzień i noc płynął okręt tnąc falujące przestrzenie.
Nawałnicę przetrzymał, przebił przez mgły się szczęśliwie,
Morską ciszę przeczekał, skały podwodne ominął
I wciąż dalej i dalej płynął pod wiatrem północnym.
A im dalej płynęła dumna królowa Egiptu,
Tym chłodniejszą ją czynił wiatr niegościnniej krainy,
Aż na czerni kamienia lzy zaperliły się słońce.

Gdy wwieziono sarkofag w progi świątyni otwartej,
Był już zimny i ciężki – krą północnego był morza.

Kiedy pragnąc w świątyni ustawić, podnieśli go słudzy,
Nie zdzierżyły ich ręce – upadł z łomotem sarkofag!
Dziesięć sług okaleczył, a sam się rozpekł na dwoje...
Ach, nieszczęście! – rozbito łoże królowej Egiptu!

Na to ozwał w te słowa się nowy faraon północy,
Ten co płacił brzęczącą monetą za skarb ów Arabom:
„Nic że trumna rozbita – nasza królowa została –
Wszak tysiące lat zeszły i nie zmieniła oblicza
Ra-Meneis nasza piękna, dumna Egiptu władczyni.”
Odsunięto pęknięte wieko – i cóż zobaczono?
Zwoje płótna w balsamie w środku stwardniałe leżały,
Połyskała podwójnym wieńcem korona Egiptu,
I roziskrzyła rubiny oczu wąż złoty – Ureus.

Chłód straszliwy i wilgoć zniszczyły ciało królowej,
Co w egipskiej pustyni wieki przeleżeć umiała.
Ra – bóg słońca swą władzą krain północy nie sięgał –
Królowały tam chłody, wilgoć i mgły panowały.
Ra-Meneis dumna wrócić do ziemi musiała.

1900

Waldemar Gajewski

SAUL

(Monolog)

„... A Duch Pański odstąpił od Saula, i trwożył go duch zły od Pana.

... I bywało, gdy przychodził Duch Boży na Saula, że wziąwszy Dawid harfę, grał ręką swą; tedy miał Saul ulżenie, i lepiej się miał, bo odchodził od niego on duch zły.

... I stało się, gdy wracali, a Dawid się też wracał od porażki Filistynów, że wyszły niewiasty... a śpiewając na przemiany one niewiasty grały i mówiły: Poraził Saul swój tyśiąc, ale Dawid swoich dziesięć tysięcy.

‘... Przetoż Saul krzywo patrzył na Dawida od onegoż dnia i na potem.

... I stało się drugiego dnia, że przypadł Duch Boży zły na Saula, i prorokował w pośrodku domu, a Dawid grał ręką swoją dnia onego jak i przedtem, a Saul miał włócznię w ręce swej. I cisnął Saul włócznią, mówiąc: Przebiję Dawida aż ku ścianie, ale się uchylił Dawid przed nim po dwa kroć...”

(1 Sam. 16.14,23; 18.6—7, 9—11)

Graj, chłopcze, graj — niech struny harfy dźwięczą,
jako niewiasty nad grobem, niech płaczą.

Ja jużem siebie oplakać niezdolen —
nie staje łez. Niech harfa rzewnie szłocha,
nie oplakanym nie daj mi umierać.

Graj, chłopcze, graj! Srebrzystostrunną harfą
Stłum trwożne głosy w głębi mego serca,
głosy prorocze, gniewne, niespokojne...
O, nie dla szczęścia Saul wśród proroków –
Pan zesłał karę nań wieszczego ducha!
Nie zna bo Saul trwogi pośród boju –
czyliż kto widział, by mu ręka drżała?
Czyliż kto słyszał, by, zbladłszy, ustąpił?

Przyjdź do mnie, zobacz, jako nocną porą
po izbach moich miotam się samotnie,
jako bezradnie ręce załamawszy
oblicze w dłoniach kryję opętane,
jak drząc, poblądły, na ziemię upadam
od myśli czarnych głowę opędzając,
przed słów gorączką broniąc się proroczą...
Ach, to nie słowa – to zły duch od Pana
otwiera usta moje prorokując,
iż pora mi... Nie słuchaj, chłopcze, graj,
nie pozwól, żebym znowu był prorokiem.

Graj, chłopcze, graj – niech nic cię nie zdumiewa!
Łagodność bije z czerni twoich oczu,
lecz ja nieufnym świt spotykam okiem...
Zali nienawiść do mnie w sercu twoim?
Jakie przewiny widzisz Saulowe?
O, nie otwieraj ust, ni słowa nie mów –
podszeptem złego ducha to pytanie!
Zaklęciem harfy ucisz go, mój chłopcze,
bo czarów nie masz, których by posłuchał,
a w muzyce tajemna siła Boża.

Niech ręka twa łagodnie struny trąca,
czyły śpiew harfy niech strumyczkiem płynie,
który obtacza twardy kamień na dnie.
Niechaj cudowna siła twoich pieśni,
kamień udręki mojej obtoczywszy,
w niepamięć wieczną strąci go...

Mój chłopcze,
zaprawdę, w czas, gdy słodko dźwięczy harfa,
ze strun srebrzystych spływa ukojenie
i wieszczym głosem wiary nie okażę,
ni błyskiem oczu twoich nie uwierzę.
Kto gra tak bowiem – nie zna nienawiści,
miałżebyś władcę nienawidzić swego?
Czymże jest sława wszystkich twoich zwycięstw
wobec jednego palców poruszenia?
Jam pokonywać jeno ludzi umiał,
a tyś samego ducha przewyciężył.

Zazdrością pałasz dla korony mojej?
Purpury mej i bęra? O, mój chłopcze,
zawierz mym słowom – jam był najszczęśliwszy,
piękniejszy byłem pasąc ongiś owce,
tam, pośród gór, w zieleni łąk ojcowych,
i prostszy byłem i myślą, i sercem.
Ach, czy podówczas ktoś dopuścił myślą,
że także Saul wejdzie wśród proroki?

Graj, chłopcze, graj! Niech harfa lekkim brzękiem
łagodność niesie, jak niegdyś dzwoneczki
trząd moich... Albo jak górskie potoki...

Jużem zapomniał był ich brzmienie miłe.
Insze w pałacu zwykłem słyszeć głosy,
gdy zasię wojska w góry uszykują,
nie słychać wonczas potoków szemrania –
milkną, zgłuszone szczękaniem oręża
i grzmotem surm...

Oj, co to?! Czyżby dźwięk
w gonitwie palców wrogi się odezwał?
Powściągnij rękę! Zmilknij! Wiem, Dawidzie,
co nienawiści jad rozpala w tobie!
Pomnys, że Saul, władca izraelski,
pasterzem był – a tyś nim był i jesteś.
Twój pojedynek pamiętasz sławetny,
jakeś powalił procą Filistyna.
Wróbla, być może, chciałeś w locie strącić,
a Pan to sprawił, żeś zwałił Goliata.
A wzrok twój ostrym procy tnie krzemieniem!

Wiem, wiem, dlaczego ziejesz nienawiścią!
Nie oręż dał ci łaski mej dostąpić,
a jeno harfa, której płomień święty
tym większym czyni ciebie niewolnikiem
gdy grą zagłuszyć chciałbyś złego ducha
przed królem swoim. Żal tobie bliźniego,
który ci wrogiem pozostawać musi.

Muzyką twoją takem spętał ciebie,
jakbym w żelazne zakuł cię kajdany –
jam król nie tylko ciała, lecz i duszy,

twej duszy także, chłopcze smagłolicy!
I woli mojej nie waż się sprzeciwić!

Czemu zdumionym widzę twe oblicze?
Wzrok jadowity twój gotuje zdradę...
Truciznę pragniesz wsączyć w moje ciało?!
Truciznę myśli?! Nie ujdiesz, nędzniku!
Hej, gdzie ma włócznia? Przybiję ku ścianie
gadzię przekłętą!...

O, dziecino biedna,
załim cię przebił? O nie, grotem włóczni
anim cię drasnął... Boże sprawiedliwy,
jakiż nieszczęsny jestem i szalony!
Hej, sługi, odprowadzić mi pieśniarza –
nagrodzić go, i pójdzie niech w pokoju.
Nie będzie grał już nigdy i nikomu!

.....
A jeśli będzie – to nie w moich progach!
Musiałby pierwszej zasiąść na tym tronie.

O Panie! Za co karzesz sługę swego
proroczym duchem? Za co ulgę moją –
ostatnią tarczę duszy mej odbierasz?
O Panie!

Chłopczę mój umiłowany!
Gdzieś jest, chłopczyno mój pokorny? Gdzieżeś?
Czy nikt mej duszy biednej nie ocali?

TRAGEDIA

Czuje rycerz w czasie bitwy,
że ma w piersi straszną ranę,
ścisnął więc swój pancerz mocniej,
aby krew swą zatamować.

Widzi z wieży piękna dama,
że coś pobladł jej kochany
i że ręką ściska piersi –
posyła do niego giermka.

– Proszą was, rycerzu godny,
abyś przerwał bitwę krwawą
choć na chwilkę tę maleńką,
póki rany ci przewiążą.

Mamy przecież miękkie szarpie
i balsamy, i dryjakiew,
w samej wieży biała pościel
dawno już dla was gotowa.

– Drogi giermku! Szczere dzięki
damie, która cię przysłała,
ale przecież przyjść nie mogę
na uprzejme zaprosiny.

Gdybym chociaż na chwileczkę
zrzucił pancerz ten żelazny,
chlusnęłaby krew potokiem
i przerwała nić istnienia.

Bo bywają takie rany –
próżno na nie łać balsamy,
nie ma co kłaść miękkich szarpi
oprócz twardego pancerza.

– Och, mój panie, ta odpowiedź
zrani serce czulej damy!
– Może dama ta ma pancerz,
niechaj mocniej go zaciśnie.

1901

Florian Nieuważny

S L A V U S - S C L A V U S *

Słowiańszczyzna! – jak potężnie grzmi
W pomroce dziejów jej mistyczne imię!
A ileż rąk w mozołe lat i dni
Wznosiło tajemniczą jej świątynię!
Pośrodku chramu lud piodestał wzniósł
Niczym Izydy posąg złotolity.
Wprowadził nań największe ze swych bóstw
Oblicze jego zasłoniwszy przy tym.
Dawno ów posąg obrósł w legend mit,
Ucieka czas powoli rok za rokiem,
A nie odważył się dotychczas nikt
W oblicze prawdy spojrzeć śmiałym okiem.
Czym się pochwali Słowiańszczyzny syn,
Synowie wielkiej matki znakomici?
Jakież ich wsławił wiekopomny czyn?
Co wobec innych każe im się szczyścić?
Smutna to prawda: każdy, każdy z nich
Zdolny świat dźwignąć na ramionach zdrowych,
Ręce pokornie złożył niczym mnich,
W niewoli kajdan trwając papierowych,
Albo pokłony bije raz po raz .

Słupowi, który wieńczy blask korony,
Który, w purpurę strojny, żąda łask,
Prawem dziedzictwa carom przeznaczonych,
To znów, gdy krwią ocieka płacząc w głos,
Uległszy razem odwiecznego bata,
Bliźnim zgotuje sam podobny los –
Na zgubę skaże rodzonego brata.
Niegdyś bywało, że najeźdźca-pan
Wywodził Słowian-rabów na majdany.
Dziś – gdzie nie spojrzeć – tam Słowianin sam
Własnymi dłońmi wkłada swe kajdany.
Nie darmo mówią: jarzma swego wart
Wół, gdy pokornie chodzi w swym kieracie.
O, nie przypadkiem złego losu kart
Słowianin r a b e m stał się dla współbraci!

Waldemar Gajewski

* Słowianin-rab (łac.).

*

* *

Motto: Czerwonią, purpurą cieszy się dureń.

„Twoja krew – to rubin cenny.
Twoja krew – to gwiazda świtu,
Krew wprost z serca dla poety
To nagroda i nabytek.”

Tak poecie ludzie mówią.
Przywykł wierzyć bzdurnym słowom.
Cieszy go więc ta krew z serca
Jak królewskie złotogłowy.

Ludzie znają cenę rzeczy.
Zginąć marnie im nie dają.
Dla poety, jak dla durnia,
Co czerwone, to wspaniałe!

1897

Florian Nienważny

*

* *

O, graj, dziewczyno, przybita cierpieniem, graj
Na tych przez ludzi potarganych strunach,
Gdyż tylko tak osiąga się harmonię,
A w twoim życiu było jej tak mało...
Nie zważaj, że cię krzykiem, a nie śpiewem
Akordy pierwsze przywitają. Dziewczę, graj!
Od krzyku przecież swe życie zaczęłaś!
Skąd wzięłaś potem te łagodne tony,
Że nawet ludzie źli garnęli się do ciebie?
Znalazłaś je w swoim rozbitym sercu,
Więc szukaj ich w tych poszarpanych strunach.
Dziewczyno, graj! Ta struna jest pęknięta –
Nie trącaj jej. Ta druga też osłabła
Jak w łuku malca zbyt luźna cięciwa.
Więc dotknij jej, trącając ledwie, ledwie.
Odezwie się tak cicho niby echo
Twojego serca. A gdy ręka trafi
Na strunę, co stwardniała od milczenia,
Szarpnij ją potężnie, bezlitośnie
I zagrzmij, ludzi zwołując na pożar.

1897 (?)

Florian Nieuważny

*

* *

Chciałabym objąć cię jak bluszczu pnące,
Przed światem szczelnie całego osłonić...
O nie, martwoty w ciało tve nie wsączę –
Ty będziesz ścianą w liściach moich dłoni.

Bluszcz daje życie kruszejącej glinie
Od niepogody chroniąc nagą ścianę,
Ona – oparcie słabej da roślinie,
Wichrem i deszczem przez lata smaganej.

Dobrze im dwojgu – jako nam ze sobą,
A kiedy ścianę wreszcie czas rozkruszy,
Będzie bluszczowi grobem i żałobą –
Bo któż oparcie da samotnej duszy?

Miałbyż samotną bluszcz wybrawszy dolę
Leżeć złamanym, zranionym, bez siły?
Albo z rozpaczy wspiąć się na topolę
Śmierć jej straszniejszą niosąc od mogiły?

1900

Waldemar Gajewski

*

* *

A może zdarzy się i inny cud,
Cud z Ewangelii? Niby Magdalena
Przyjdę ci oddać ostatnią posługę
I właśnie w tej minucie, gdy w bolesti
Płakać będę tak gorzko, żem na wieki
Straciła ciebie, to raptem spostrzegę,
Że zmartwychwstałeś, zajaśniałeś sławą
Nowego życia i nowych nadziei.
Ja w osłupieniu uklęknę przed tobą,
Ręce wyciągnę i pełnym imieniem
Zawołam ciebie głośno... Ale ty?
Co wówczas powiesz ty? Czy nawet ty
Poślesz mnie, abym zaniósła nowinę
Twym druhom, którzy ciebie zapomnieli,
Którzy trzykrotnie wyrzekli się ciebie?
I póki ja, niepomna swego szczęścia,
Wśród ludzi wieść tę będę obnosiła,
Ty zaczniesz władać nowym krajem sławy
I tu, na ziemi, zbudujesz nowy raj
Dla siebie i dla tych, których powołasz.
Czy będzie miejsce tam dla Magdaleny?
Nic to, byleby tylko cud się zdarzył!

1900

Florian Nieważny

*

* *

Nie chciałeś mnie wziąć, zostawiłeś, bym tu była
[stróżem,
Nakazałeś mi twoją mogiłę ozdobić
W biały marmur i bluszcz, w purpurowe jesienne róże,
Nakazałeś nosić po tobie żałobę,
Tak jak w legendach cudne królowny nosić ją muszą.
Czekaj, jeszcze nie wyciosany twój marmur bezcenny
I bluszcz nie ma się jeszcze wokół czego owić,
Nie kwitną jeszcze jesienne róże w porze wiosennej,
Marmur, ciemność i krew tylko w sercu mam wdowim,
Nie zdaję się ludziom królowną w swym żalu bezdennym.
O, jak często władają mną sny, które mi źle wróżą,
Śni mi się ciągle, że na kaźń idę bez lęku,
Ale to tylko sny – ja powinnam tutaj być stróżem,
No bo w spadku dostałam żałobę i piękno,
Biały marmur i bluszcz, i szkarłatne jesienne róże...

1901

Florian Nieuważny

*

* *

Oj, postrzelały mnie, zrąbały słowa,
a rany mojej duszy ostro pieką.

Jak celną strzałą i mieczem surowym
mnie jego ręka dosięga z daleka.

O, słowa, straszna, obosieczna zbrojo,
zamilczcie, dajcie spocząć odrobinę,
jużeśmy w serce ranieni oboje,
choć nie stanęłam z nim do pojedynku.

Oj, nie stanęłam, padłam, oniemiałam.
bo moje słowa nie oręż, lecz łkanie,
wylałam wszystko, co w mym sercu miałam,
stłumiłam tylko to jedno błaganie:

„Dobij mnie, pozwól mi od razu zginąć!”

Och, jak ten okrzyk rwał się z serca, z nerwów,
ale wiedziałam: tym krzywdę uczynię,
przeto zamilkłam – i głos mój się zerwał,

i oniemiało serce. Lepsza dola
czekała woja, co z siodła wybity,
mógł wedle praw prastarych szczerą wolę
wyrazić: „Zabij mnie!”... i – być zabitym.

1901

Florian Nieuważny

*

* *

Gdzie są te struny, gdzie ten głos potężny,
gdzie owo słowo skrzydlate,
które wypowie wszystkie nasze klęski
w szczęście i boleść bogate?

Które wynieśliby zamknięci w murach
hen, na szerokie majdany,
by przełożyła na mowę człowieczą
pieśń, którą dzwonią kajdany?

Jeruzal miała swego Jeremiasza,
co ludu wypłakał bole.
Przec nasz kraj nie ma swego Jeremiasza,
znoszący wciąż niewolę?!

Płomieniem wiecznym na postrach potomnych
dantejskie piekło pałało –
straszliwsze piekło gorze w naszym kraju,
czemuż dziś Danta nie stało?!

Hej, błyskawico, gromowa siostrzyco,
gdzie ty? Czar rozbij ponury!

Niechże raz wreszcie przemówimy gromem
jak w porze wiosennej chmury.

1902

Tadeusz Chrościelewski



Jaskrawym światłem fale wyblyskują
tuż po burzy w noc księżycową,
niby wojsko, co mieczem obosiecznym
pragnie z karku ściąć wraz głowę.

Błysk oręża i echo tysiąckrotne
niby buntu jazgot i werbel,
to jak siła ludu w pełnym rynsztunku
do ataku idzie bez przerwy.

Każdy miecz – promień światła niebiańskiego,
co spadł z nieba i znów w górę wzłata;
każdy huk to odgłos siły odwiecznej,
co rujnuje i wznosi znów światy.

O, ludzkie morze, ty, siło ludowa,
z czego sobie oręż wykujesz?
Co powstanie na miejscu pustynnym
tego świata, który zrujnujesz?

1902

Florian Nienuaży

*

* *

Wiedziałam dobrze: będą łyzy i męka
i mnóstwo pracy codziennej i miażdżonej,
niedostrzegalnej, która bardzo często
idzie na marne. Nie tylko nagrody
nie czekam za to, ale ledwie-ledwie
bronić się mogę przed własną pokutą,
ledwie potrafię wstrzymać własny wyrzut
o to, że jestem grzesznicą bez winy.
I kiedy czasem w codziennej pomroce
raptem rozkwitnie pyszny szczęścia kwiat,
to go odbieram nie jako nagrodę –
jak dar, jak cud, niespodziewany raj,
co się na chwilkę otwarł z łaski nieba
jak legendarny ów paproci kwiat.
A potem, kiedy znów nadejdzie smutek,
pomyślę znów: wiedziałam o tym dobrze,
więc lepiej zamilcz, wstrzymaj jęk swój, serce,
bo tak być m u s i...

Może rychło przyjdzie
owa godzina, gdy we łzach spostrzęgę,
że ja na wieki zwiędłam i zmarniałam,
a szczęścia kwiat też raz na zawsze zniknął

jak legendarny ów paproci kwiat.

Zapłacę przeto bolesnymi łzami –
wygnańcy tak oplakiwali raj –
lecz nawet wtedy powiem: ja wiedziałam,
milcz lepiej, duszo, wstrzymaj jęk swój, serce,
bo tak być m u s i...

Gdyby nie zmierzch nawet,
lecz surowa ciemność zapadła wkoło,
też się nie poddam, będę nasłuchiwać,
czy w duszy mej nie zamilkł dawny grom
i trwożną myślą zajrzę w samo serce,
czy jeszcze nie wybuchną w nim czasami
ówczesne błyskawice – a jak nie,
jeżeli zima me zamrozi serce,
mą potajemną wiosnę przewycięży,
moje cudowne kwiaty pozamraza,
to powiem: nie, jam tego nie czekała!
Umrzyj, duszo, rozbij się, zimne serce,
tak żyć nie warto!

1904

Florian Nieuważny

*
* *
*

Było to za czasów świętej Hermandady:
mnisi-oprawcy wzięli heretyka
i zaprowadzili go do Torquemady
na inkwizycję. Taka rzecz wynikła:

wpierw, biedny, milczał i tylko łez strużki
ciekły po nieruchomych z bólu licach,
milczał na śledztwie, głuchy na pogroźki,
wtem – jęk – i męki wzmożli zakonnicy.

Krzyknął. „Jest jeszcze na skruczę nadzieja –
kat, wielki znawca serc, na to odrzecz –
szatana ogniem-żelazem wywieje
precz z jego duszy – i brat się wyléczy!

Dodajcie ognia!” Zadali tortury
niehumanitarnej, przy niej wszystkie słowa bledną.
Runą ze strachu, zdawało się, mury
i mnich się modlił, by heretyk zemdłał.

Ale nie zemdłał. Stał się dziw nad dziwy:
poblądłe usta skrzywił uśmiech kusy,
a ugaste oczy znów zabłysły żywo,
bo rzekł męczennik: „Mnisi, na Chrystusa,
dodajcie ognia! Ogień – moja radość.

O, dajcie jeszcze, jeszcze!” – błagał katów.
„Spalcie na proch! – brzmiał wyrok Torquemady –
Nadziei nie ma już. Zwyciężył szatan!”

1903 (?)

Florian Nieuważny

EPPUR TI TRADIRO

Zdradzę cię może. A to w tej godzinie,
gdy tajemnicą świat się zamgli wkoło,
gdy przyjdzie geniusz ze wzrokiem ognistym
i pocałunkiem naznaczy me czoło.

A wtedy blada, cała drżąca wstanę,
porzucę łóżko i za nim wyruszę.
Skroś ciemność pójdę za dumnym, wspaniałym
i tajemniczym moim geniuszem.

On w moje usta swoje słowa włoży,
odkryje cuda, których sekret posiadał.
Z głębin serca wnet wówczas popłynie
hen ku szerokim, bezkresnym niebiosom
niepowstrzymana, mężna, wolna pieśń.

1904 (?)

Florian Nieuważny

PROROK

(Z biblijnych motywów)

Duchowi sercem moim powiedziałem:
„Po co mnie budzisz pośród nocy mrocznej?
Po co te ciche usta rozwiązałeś?
Po co włożyłeś im słowa prorocze?
Ospali ludzie – z ich serc wola znika,
Nie będzie z tego ludu wojownika!”

A duch mój na to tak przemawia do mnie:
„Stań, wartowniku, bez wahań na czatach!
Cóż, że w mym kraju lud bierny ogromnie,
Na zew twój milczy leniwie, lecz za to
Słuch o nim zagrzmi aż do gwiazd wysoko,
Że spośród siebie wyłonił proroka.”

1906

Florian Nieuważny

WIOSNA W EGIPCIE

I

CHAM SIN

W Egipcie rudy Chamsin się rozhułał
i ogniem pragnień w powietrzu wirował,
wzbijając piachy skrzydłami suchymi,
oddychał gęstym, palącym płomieniem.
Iście diabelskie wesele! Piszczalką
zaśpiewał piasek, zerwał się znienacka
z ciężkiej i sennej ospałości swojej,
kamienie zaś na bębnach przygrywały.
Któż to wśród żółtych mgieł oślepiających
na cześć Chamsina w płasach giętkich gnie się?
Czyżby tajemne dziewczęta-wietrznice,
radosne dzieci smętnawej pustyni?
Zda się, że oto jakaś szata zwiewna
w szaleńczym tańcu zwija się, rozplywa...
„Nie dziw się, cudzoziemko! Bo oczy zasypię!”
Zagarnął Chamsin zawistnie pod skrzydło
wszystkie tancerki swoje niewidzialne.
Nikt nie śmie zoczyć ich. Pośród pustyni
Arab do modłów twarzą w piach upada.
„A zatem módl się! Módl! Jam dawnym bogiem,
owym potężnym Setem jestem, który
nieśmiertelnego Ozyrysa ciało

na strzepy rozdarł i rzucił pustyni...
Z jakąż rozpaczą jęczała Izyda!...”

I poweselał Chamsin od wspomnienia,
pustynia jakby w górę się uniosła,
po czym runęła w niebo. W niebie żółtym
zamarło słońce – Ozyrysa oko –
i w okamgnieniu oślepił był świat cały...

1910

Krzysztof Rozner

ODDECH PUSTYNI

Oddech pustyni równomierny, wolny,
 goreje na wskroś czysty, jakby święty.
 Piasek w bezruchu spoczywa nietknięty.
 Spokój darował mu Chamsin swawolny.

Fellach w milczeniu znosi trud mozolny,
 buduje dom. Wędrowcy z traktów krętych
 wytchnienie znajdą w nim. Dom obrośnięty
 pysznozielonym ogrodem okolnym.

Fellach oazy w kształty przyobleka,
 acz nie dla siebie... Jeszcze łuk, podcienie...
 Pośród fałd szaty słońca lśnią promienie

i wiatr pustynny smaga twarz człowieka,
 osusza pot... na powrót w dal ucieka...
 Pustyni oddech... miraż... przywidzenie...

1910

Krzysztof Rozner

III

A F R Y T

Cisza. Powietrze nieruchome jako stawów wody stojące,
kiście bananów zeschnięte, skamieniałe w upalnym
[skwarze,
wątle mimozy rozwarły chciwie listki swe gorące,
omdlewają odarte z marzeń...
Skąd się ów świst nagły zjawił, obcy dla ucha?
Pękają trąbek odgłosy, werbli dudnienie biegnie!
Hej, opamiętajcie się!
Komu potrzebny śpiew wasz, któż go słucho?
Ale cóż im tam! Siłę swą niosą Anglicy
brzegiem Nilu – niechaj Egipt kark w pokorze zegnie!
Ledwie przeszli, a już cisza zwarła się za niemi
jak w świątyni tajemnej ciężkich wrót zasłona.
Palm liście suche opadły w ukłonach,
niewidzialnego boga ręka gięła je ku ziemi.
Niebo w znoju poblądłe posiwiłało jak popiół,
dzień do ostatka zetnął, nim przyszła noc błada.
Zmierzch nie śmiał zstąpić i resztek światłości utopić
w piekającej ciszy, choć światła nie było ni śladu.
Światło pustką się stało. Na dobranoc nie śpiewa
[ptaszyna.

Wszechwładne nietoperze przestrzeń przecinają.
Roznosząc hasła do snu w rozległych krainach
swym lotem aksamitnym ciszę pogłębiają.

1910

Krzysztof Rozner

VI

WIEŚĆ Z PÓŁNOCY

Więc nie bez celu do mnie przyszedł
z północy gość... W ów dziwny ranek
niebo woalem chmur zasłane
błękitnym. Deszczu krople słyszę,
jak z wolna urastają w siłę.
W wilgotnym chłodzie się zjawiłeś,
wietrze, otwarłszy drzwi do domu.
Czemu zastygłeś nieruchomo?
Czyż są pustyni nie po myśli
zaloty twe, że nie pozwala,
abyś kochankę swą odnalazł
i na obczyźnie sen swój wyśnił?
Wiatr szeptał, mokre liście pieścił:
„Bywałem właśnie w twojej stronie,
przynoszę echa – smutne wieści,
wszak sama mnie prosiłaś o nie!”

1910

Krzysztof Rozner

TAJEMNICZY DAR

Egipt nie umie łez przelewać długo. Obmywszy swoje
[palmy,

skropił zieloność bujnych pól nad Nilem,
a odnowiwszy błyszczącą poźłotę rozległej pustyni,
raduje się znowu – tajemniczym uśmiechem Sfinksa.
Spostrzegam śmiejące się spod czarnej czadry oczy

[Egipcjanki.

Islam ujarzmił kobietę, ale jej oczy zachowały wolność!
Śpiewem zachwalają niewiasty i mężczyźni swe kramiki
niesione z dumą na kształtnych głowach,
jak gdyby spoczywał na nich cały Egipt.

Przyodziany w czerń kroczy nosiwoda,
podzwania, żartując przy tym, jasnym naczyniem
i spragnionemu tłumowi wodę chłodną i słodką

[z ciężkiej łagwi nalewa,

przyprawia ją facecją, po czym należną bierze zapłatę.
Beztrósko bawią się wokół ubogie chłopskie dzieci.

Żwawe małeńkie główki! Patrzą bystre, ciekawskie oczy...
W dziecięcej zabawie wypraszają u wędrowca bałszysz,
a otrzymawszy go, albo i nie – śmieją się,

[jest im przecież wszystko jedno!

Ssą małeńki, słodki kawałek trzoiny
i radują się, cieszą bogactwem swoim.

„Skąd owa radość?” – myślę... A w duszy obrazy
 [powstają,
 rzekłbyś – głos tajemniczy pradawną opowiada legendę:
 „W zamierzchłych czasach, gdy wśród pustyni narodził się
 [Nil,
 położyła go matka w umajoną kołyskę,
 z wysokiego nieba ojciec w promieniach radosnych
 [dziwił się
 widząc, iż syn jego dosłownie rośnie w oczach
 i krzepnąc w siłę, niesie ją do morza...
 Naonczas zebrało się przy urodzinach siedem Hathor,
 a wszystkie niosły dzieciątku podarunki.
 Rzekła pierwsza: „Dajęć we władanie ziemię żyzną.”
 Ozwała się druga: „Po trzykroć plony w ciągu roku
 [zbieraj.”
 Przemówiła trzecia: „Ra będzie wiecznie łaskawy twym
 [czynom.”
 Czwarta wyciągnęła rękę: „Oto palmowa tarcza chroniąca
 [przed Setem.”
 Piąta w milczeniu papirus, lotos i kamień złożyła.
 Szósta szepnęła: „Nikt twych tajemnic nigdy nie
 [odgadnie.”
 Siódma uśmiechnęła się przez łzy i szczerze wyznała:
 „Zazdrośni bogowie przepowiedzieli twym dzieciom
 [wieczną niewolę,
 w niezłomną radość przeto uzbroję twą duszę –
 gniew faraonów ni obce jarzmo złamać jej nie zdoła.”
 Tak oto u wieków zarania wieściło siedem Hathor...
 Wierzę: po wsze czasy przetrwa słowo bogiń.

*

* *

Kto wam powiedział, że ja kwękam,
kark schylam przed losem z pokorą?
Czy zadrżała choć raz moja ręka?
Czy pieśń moja i myśli są chore?

Słyszeliście – raz ujawniłam
swoją rozpacz i żal bezdenny,
lecz to burza wiosenna była,
a nie łzawa ślota jesienna!

A jesienią... Żal serce zmaça
tym, co kwitną lub w nicość lecą,
wtedy nawet wierzba płacząca
złoto-szkarłat pyszny oblecze.

Gdy nadejdzie zima surowa,
barwne kwiaty śniegiem zawieje –
sama na ich grobie od nowa
samorodne kwiaty zasieję.

PIEŚŃ LASU

Baśń dramatyczna

w trzech aktach

Przełożył Jerzy Litwiniuk

SPIS OSÓB DZIAŁAJĄCYCH
W „PIEŚNI LASU”

Prolog

„Ten, co groble rwie”	Rusałka
Niechrzczenie (dwoje)	Wodnik

Akt I

Wujek Lew	Pokuśnik
Łukasz	Przepaśnica (rola niema)
Rusałka	Niechrzczenie
Dziad Leśny	Kusy
Mawka	

Akt II

Matka Łukasza	Kyłyna
Łukasz	Rusałka
Wujek Lew	„Ten, co w skale mieszka”

Mawka
Rusałka Polna

Pokuśnik

A k t III

Mawka
Dziad Leśny
Kusy
Złydni
Matka Łukasza
Kyłyna

Chłopiec
Łukasz
Dzieci Kyłyny (rola niema)
Dola
Pokuśnik

PROLOG

Gęsty, przodków pamiętający starodrzew na Wołyniu. Wśród gęstwy rozległa polana, a na niej brzoza płacząca i wielki dąb-patriarcha. Skraj polany przechodzi w kępy i szuwary, ówdzie w jaskrawą zielen grzęzawiska – to brzeg jeziora, co się rozlało z leśnego strumienia. Strumień wybiega z leśnej gęstwiny, wpada do jeziora, wypływa po drugiej jego stronie, gubiąc się w zaroślach. W bezruchu trwa jezioro osłonięte rzęsą i grązelami, ale ze smugą czystego nurtu na środku.

Okolica dzika i tajemnicza, jednakże nie ponura – urzekająca swą nieuchwytną, melancholijną urodą.

Przedwiośnie. Obrzeżem lasu i na polanie zieleni się pierwsza ruń i kwitną sasanki i przebiśniegi. Drzewa są jeszcze bezlistne, ale już osypane pączkami, które tylko patrzeć, jak się otworzą. A mgła to kryje całunem jezioro, to faluje z wiatrem, to znów się strzępi odsłaniając jasnoblękitną wodę.

W lesie wszczął się zgiełk jakiś, strumień spienił się i za-bulgotał, i wraz z jego wodami wybiegł z lasu „T e n, c o g r o b l e r w i e” – młody, jasnokędzierzawy, modro-oki, o ruchach zarazem płynnych i gwałtownych: strój na nim mieni się barwami od mętnej żółci do jasnego błę-

kitu i rozbłyskuje ostrzami złocistych iskier. Rzuca się z falą do jeziora i poczyna krążyć jego bystrzyną, burząc senną wodę; mgła się rozprasza, woda modrzeje.

„TEN, CO GROBLE RWIE”

Z gór po roztoce
leczę, pędzę, łoskocę!
Rwę mostów belki,
strącam wszystkie grobelki,
wszystkie jazy, zapory,
stawiane do tej pory –
bo wiosenna woda
młoda jest jak swoboda!

*Burzy wodę jeszcze energiczniej, zanurza się i wypływa,
jak gdyby szukał czegoś w wodzie.*

NIECHRZCZEŃCE

*Dwoje małych, białych dzieci w białych koszulinach wy-
nurza się spomiędzy grązeli.*

1. Czemu nam wodę brudzisz?
2. Czemu nas ze snu budzisz?
1. Mateńka nas położyła,
mięciuteńko pościeliła,
na kamykach, na drobnicy,
nasłała miękkiej bagnicy,
grązelami zarzuciła
i cichutko zanuciła:
„luli-luli-luleta,
śpijcie, moje piskleta!”
2. Czemu tu wody prujesz?
1. Kogo tu wypatrujesz?

„TEN, CO GROBLE RWIE”

Tej, co kocham od młodu,
z rusałczanego rodu,
bo na calutkim świecie
równiej jej nie znajdziecie!

Przebiegłem jary,
góry, doły, pieczary –
milszej sercu kochanki
nie ma od jeziorzanki.
Przeleję wszystką wodę,
odnajdę jej urodę!

Mąci wodę gwałtownie.

NIECHRZCZEŃCE

Zlituj się! Nie burz wody!
Nie wyrządzaj nam szkody!
Domek dla nas maleńki
skleciła dłoń mateńki.
Uboga nasza chatka,
bośmy nie miały tatka...

Chwytają go błagalnie za ręce.

Opuścimy się na dno
w wodę zimną i zradną,
gdzie rybak w śnie się graży,
rusałka przy nim krąży...

„TEN, CO GROBLE RWIE”

Niechże ona go rzuci!
Niechaj do mnie powróci!

Niechrzceńce zanurzają się w jeziorze.

Wypłyńże, miła!

*Rusałka wypływa i uśmiecha się kusząco, radośnie,
składając dłonie. Na głowie ma dwa wianki – jeden
okazały zielony, drugi jak niewielka korona z pereł, spod
której opada welon.*

RUSAŁKA

Tyżeś to, mój kochaneczku?

„TEN, CO GROBLE RWIE”

Cóżeś robiła?

RUSAŁKA

*niby to rzuca się ku niemu, ale przepływa dalej, omijając
go*

Tęskniłam
przy gwiazdach i przy słońeczku
za tobą, miły paneczku!
Roniłam łez tysiące
w dzbany srebrzystolśniące,
od serdecznego zamętu
napełniłam je do szczętu...

*Klaszcze w dłonie, otwiera objęcia, znów rzuca się ku
niemu i znów go mija.*

Rzuć tam złoty czerwony,
bryzną na wszystkie strony!

Śmieje się perliście.

„TEN, CO GROBLE RWIE”

drwiąco

To i w bagnie z ochotą
widzą czerwone złoto?

*Rusałka zbliża się doń, ale ten gwałtownie odwraca
się od niej, aż zakotłowała się woda.*

Zamiast się darmo smucić,
do rybaka chciej wrócić,
opędzać nieboraka
od suma i od raka,
by nie odgryzły czuba –
taka ci służba luba!

RUSAŁKA

przy pływa blisko, chwytą go za ręce, zagląda mu w oczy

Jużeś się rozgniewał?

chytrze

Wiem ci ja, mój jedyny,
żeś ty kat na dziewczyny!

Śmieje się z cicha, aż tamten się spłoszył.

Gdzieżeś się podziewał?
Choć mi żadna nie równa,
milsza ci młynarzówna!
Długą zimową nocą
jak jej ślepie migocą,

nie darmo dworskie chwaty
przynoszą jej dukaty!

Grozi mu palcem i śmieje się srebrzyście.

Inne łzy tracą,
żeś zbytnik i ladaco,
gniewać się nie mam za co,
bo i tak kocham cię.

z udanym patosem

Chwileczkę potrwa moja wierność niezawodna,
na mgnienie będę ci posłuszna i łagodna.

Ty, zdrado, zgiń na dzień!
Wszak woda nie zostawia śladu
od śniadania do obiadu
podobna mojej cnocie
albo mojej zgryzocie!

„TEN, CO GROBLE RWIE”

Gwałtownie wyciąga do niej obie ręce.

No to zgoda!
Niech się zakręci woda!

RUSAŁKA

Chwyta go za ręce i porywa w taniec.

Kręćmy się wirem
nad żółtym żwirem
w perłowym wieńcu
przy oblubieńcu!
Uch! Uch!

Prychają, bryzgają, pluszczą. Woda bije o brzegi, aż zaszumiała turzyca i ptactwo zgrają podrywa się z szuwarów.

WODNIK

Wynurza się pośrodku jeziora. Jest to wiekowy, siwy dziad, któremu długie włosy i długa biała broda uwikłana w wodorosty zwisają aż do pasa. Odzienie ma multistego koloru, na głowie koronę z małży. Głos ma stłumiony, ale donośny.

Kto niepokoi nasze ciche wody?

Rusałka i jej towarzyszy zdrętwieli i umykają od siebie.

Córko! Nie godzi się wodnej królownie kręcić się w kółko z przybłędami! Wstyd!

RUSAŁKA

On nie jest obcy, ojcze. Nie poznajesz?
To „Ten, co groble rwie”!

WODNIK

Wiem, dobrze wiem!

To nie nasz swojak, choć wodnego rodu.
Z natury już podstępny i zdrażliwy
na wiosnę on kotłuje, igra, rwie,
odziera brzegi z przepysznego wieńca,
który przez cały rok ruszałki plotą,
przepłasza ptactwo mądre i ostrożne,
podcina korzeń wierzby owdowiałej,
a także biednym sierotom-niechrzczeńcom
zalewa wodą błędne latarenki,

nadwątła, psuje wyrównany brzeg
i spokój burzy mi na stare lata.
A gdzie jest latem? Gdzie podówczas hasa,
gdy chciwe słońce spija resztki wód
z mego kielicha niczym smok niesyty,
kiedy na suchym zostawione brzegu
omdlewa w męce pragnienia sitowie,
gdy umierając lilie pochylają
nad parną wodą główki wynędzniałe,
gdzie wówczas jest?

W czasie tej perory „Ten, co groble rwie” ukradkiem kiwa w stronę Rusalki kusząc ją, by uciekła z nim z biegiem strumienia.

„TEN, CO GROBLE RWIE”
ze skrywaną ironią

A w morzu jestem, dziadku.
Ocean mnie na pomoc przywołuje,
by czary jego nie wypilo słońce.
Kiedy król morza wezwie – trzeba słuchać.
Sam przecie wiesz, co obowiązek znaczy.

WODNIK

Tak, ty po morzach bujasz... Ale ja,
gdyby nie dopomagał mi przyjaciel,
poczciwy, wierny druch – jesienny deszczyk,
zginąłbym z parą pospołu.

„Ten, co groble rwie” niepostrzeżenie kryje się w wodzie.

RUSAŁKA

Tatulu!

Para nie może zginąć, bowiem z niej
znowu powstanie woda.

WODNIK

Mądraś ty!

Idź na dno! Nie masz co się tutaj trzpiotać!

RUSAŁKA

W tej chwili, tatko! Przecie on już znikł.
Ja tu rozczeszę splątane sitowie.

*Wyjmuje z za pasa grzebień z muszli i czesze zielsko przy-
brzeżne.*

WODNIK

Ano rozczesuj, ja porządek lubię.
Czesz jeszcze, czesz, to sobie tu zaczekam,
aż się uporasz z pracą. Popraw też
grązele, by się słały równiuteńko,
i zeszyj akuratnie chodnik z rzęsy,
gdzie ten szafaput podarł.

RUSAŁKA

Dobrze, tato.

*W o d n i k u k ł a d a s i ę w y g o d n i e w s z u w a r a c h, o c z y m a
w o d z ą c z a k r z ą t a n i ą R u s a ł k i. Z w o l n a o p a d a j ą m u
p ó w i e k i.*

„TEN, CO GROBLE RWIE”

wynurzywszy się, szeptem do R u s a ł k i

Ćśś... za wierzbę teraz myk!

R u s a ł k a kryje się za wierzbę, ozierając się na

W o d n i k a.

Popłyniemy oba w mig

tam, gdzie bystrzyna

huczy u młyna

i pod młynarzówną jaz

obalimy oba wraz!

*Łapie R u s a ł k ę za rękę i pędem przebiega z nią jezio-
ro. Już niemal przy drugim brzegu R u s a ł k a zatrzyma-
ła się i krzyknęła.*

RUSAŁKA

Ojej, ucapił mnie dąb zeszłoroczny!

*Budzi się W o d n i k, rzuca się zagradzając drogę i chwyt-
ta R u s a ł k ę.*

WODNIK

Takiś ty? O bezecny bałamucie,

będiesz ty głowy rusalkom zawracał?

Jeszcze poskarżę się twojej mateczce,

zawiei w górach, będziesz miał za swoje!

„TEN, CO GROBLE RWIE”

ze śmiechem

Zanim mnie skrzyczy, nahulam się jeszcze!

Bywaj, Rusalko, pij za moje zdrowie!

WODNIK
do Rusałki

Marsz na dno! I przez trzy miesięczne noce
z wody wynurzyć ci się zakazuję!

RUSAŁKA
opierając się

Od kiedy to rusałki są w jeziorze
niewolnicami? Toć ja jestem wolna!
Wolna jak woda!

WODNIK

Tu, w mojej dziedzinie
woda o brzegach swych pamiętać musi.
Marsz na dno!

RUSAŁKA

Nie chcę!

WODNIK

Nie chcesz, wodna panno?
To daj tu wianek swój perłowy!

RUSAŁKA

Nie!
Królewicz morski przecie mi go dał.

WODNIK

Ale już włosów twoich nie ozdobi,

bo weźmie ciebie za zuchwalstwo „Ten,
co w skale mieszka”.

RUSAŁKA
ze zgrozą

O nie, tatko, nie,
będę posłuszna!

WODNIK
Tedy marsz na dno!

RUSAŁKA
z wolna zanurzając się w wodzie
Idę już, idę... A czy igrać mogę
z rybakiem?

WODNIK
Baw się, ja ci nie przeszkadzam.

*Rusałka zanurzyła się już w wodzie do ramion i
uśmiechając się żałośnie spogląda w górę ku ojcu.*

Dziwnaś ty, córko. Przecie dbam o ciebie,
on zaś do zguby przywiódłby cię rychłej,
powłókłby cię po głazach i wykrotach,
w strumieniu leśnym biel twojego ciała
poniewierając, i samotną rzucił
gdzieś na bezwodziu.

RUSAŁKA

Ale chłopak gładki!

WODNIK

Znowu zaczynasz?

RUSAŁKA

Nie, nie, nie! Już idę!

Daje nurka.

WODNIK

spozierając w górę

A już słońeczko wiosenne przygrzewa...
Uf, jak tu duszno! Poszukam ochłody.

Też daje nurka.

AKT I

Miejsce to samo, jedynie znać w nim postępy wiosny; skraj lasu jak gdyby otulony lekką zieloną mgielką, gdzie-niegdzie wierzchołki drzew zazieleniły się także. Jezioro po wręby wypełnia zielone brzegi, wygląda niczym w rucianym wianku.

Z lasu na polanę wychodzi wujek Lew z siostrzeńcem Łukaszem. Lew to już starszy mężczyzna o twarzy nacechowanej powagą i wielką dobrocią; długie włosy poleską modą splewają mu na ramiona spod szarej wojskowej czapki-rogatywki; na sobie ma płócienne spodnie i jasnopopielatą koszulę oraz nieomal białą siermięgę; obuty w łykowe postoly, w ręku ma „kłownię” (niewielki wiecierz), do pasa przytroczony kozik, a przez ramię przesuconą torbę z łyka na solidnym rzemieniu.

Łukasz – bardzo młody chłopak, urodziwy, czarnobrewy, smukły, w oczach ma jeszcze coś dziecinnego; takie same portki i koszula jak u dziadka, tyle że z cieńszego płótna, założona „na wypust” i wyszywana białymi nićmi, przy kołnierzu i zarękatkach czerwone tasiemki; siermięgi nie włożył; na głowie ma kapeluch słomkowy, u pasa kozik-cyganek i łykową tuleję na sznurki.

Po dojsciu na brzeg jeziora Łukasz przystanął.

LEW

Czegóżeś stanął? Tu nijako będzie
łowić węcierzem. Zamulone, grząsko.

ŁUKASZ

Sitowia chciałem uciąć na puszczalkę,
spójrz, wujku, jakie tu ładne sitowie.

LEW

Masz tych piskawek do licha i trochę.

ŁUKASZ

Co ich mam? Raptem z wierzby i kaliny,
trzecią lipową. Nie zawadzi jeszcze
trzciniową zrobić sobie na odmianę,
jak to zagwiżdże!

LEW

Baw się, chłopcze, po to
Pan Bóg dał święto. A jutro od świtu
chatę stawiać będziemy. Czas najwyższy
gonić bydło do lasu. Spójrz dokoła –
świeża ruń między darnią się przebija.

ŁUKASZ

Tutaj zamieszkać mamy? Ludzie prawią,
że tu niedobre miejsce – ponoć straszy...

LEW

Niedobre – jak dla kogo. Ja, siostrzanku,
wiem, jakich na co używać sposobów:
gdzie się przeżegnać, gdzie wbić kół z osiny,
gdzie tylko splunąć trzy razy i kwita.
Mak-przeziór zasiejemy wokół chaty,
pod progiem znów goryczkę posadzimy,
to i złe żadne nie znajdzie dostępu...
No, ja już idę, a ty – jak uważasz.

*Rozchodzą się. Łukasza idzie w stronę jeziora i znika
w sitowiu. Lew idzie nad brzegiem i chowa się za wierz-
bami.*

RUSAŁKA

wypływa na brzeg i wszczyną lament

Leśny dziadusi! Ratunku! Nieszczęście!

DZIAD LEŚNY

*niski brodaty dziadyga, żwawy w ruchach, z powagą na
twarzy; w brunatnym niczym kora odzieniu, w czapie z
futry kuny*

Co ci jest? Czemu lamentujesz?

RUSAŁKA

Chłopak

z sitowia tnie piszczalki!

DZIAD LEŚNY

Wielkie rzeczy!

Też mi zmartwienie! Nie bądź taka skąpa.
Tu właśnie chatkę mają pobudować,

też im nie bronię, byle nie ścinali
mokrego drzewa.

RUSAŁKA

Chatkę? Biada że mi!
Ludzie tu mieszkać będą? Och, ci ludzie
spod strzech słomianych! Cierpieć ich nie mogę!
Kiedy poczuję zapach słomy, mdli mię.
Topię ich, żeby woda wypłukała
ten zaduch nienawistny. Załaskocę
natrętów, gdy się zjawią!

DZIAD LEŚNY

Ochłoń nieco!
Wujek Lew będzie mieszkać w onej chacie.
To nasz przyjaciel. On tylko dla żartu
goryczką straszy i kołkiem z osiny.
Lubię starego. Gdyby nie on właśnie,
dawno nie byłoby owego dębu,
co tyle naszych narad, korowodów
i wielkich leśnych tajemnic oglądał.
Już go mierzyli Niemce, już dokoła
we trzech pień jego próbowali objąć
i ledwie-ledwie. Wciskali pieniądze,
talary bite, ludziom wielce miłe,
a wujek Lew przysiągł, że póki życia
starego dębu nie da tknąć siekierą,
wtedy i ja przysięgłem na swą brodę,
że wujek Lew i jego domownicy
będą bezpieczni w lesie tym na wieki.

RUSAŁKA

Phi! A mój ojciec wszystkich ich potopi!

DZIAD LEŚNY

Niech się nie waży! Bo całe jezioro
zasypię zgniłym liściem zeszlórocznym!

RUSAŁKA

Ratujcie, bo się złęknę! Cha cha cha!

Znika w jeziorze. Dziad Leśny mruczając pod nosem zapala fajkę, siada na obalonym pniaku. Z sitowia dobiega głos fujarki rzewny, przenikający, i w miarę, jak się potęguje, rozwija się wszystko w lesie. Najpierw zalśniły baze na wierzbie i łośzynie, później zatrzepotała liśćmi brzoza. Na jeziorze otwarły się paki białych lilii i zazłociły grązele. Dzika róża ukazuje delikatne pączki. Zzapnia na wpół uschłej, rozszczepionej starej wierzby wychodzi Mawka w jasnozielonej szatce, z rozpuszczonymi czarnymi warkoczami o zielonawym połysku, rozprostowuje ręce i przeciera oczy.

MAWKA

O, jakże długo spałam!

DZIAD LEŚNY

Długo, córuś!

Już nawet wilcza jagoda przekwitła.
Patrząc, jak masło ubije kukulka,
na nóżki wzuje trzewiczki czerwone
i ludziom lata życia mierzyć pocznie.
Już goście przylecieli z ciepłych krajów.
Jak żółte kule puchu już pływają
dzikie kaczęta po czystym jeziorze.

MAWKA

Któż to mnie zbudził?

DZIAD LEŚNY

Wiosna ani chybi.

MAWKA

Jeszcze mi dotąd wiosna nie śpiewała
tak, jak w tej chwili. Może to się śniło?

Ł u k a s z gra znowu.

Poczekaj... Słyszysz? Czy to wiosna śpiewa?

Ł u k a s z gra tę samą nutę, ale już z bliska.

DZIAD LEŚNY

To jeno chłopak na fujarce piska.

MAWKA

Który to chłopak? „Ten, co groble rwie”?
Nie spodziewałam się po nim tej sztuki!

DZIAD LEŚNY

Ludzkiego rodu, wujka Lwa siostrzeniec,
zwią go Łukaszem.

MAWKA

Nie słyszałam o nim.

DZIAD LEŚNY

Bo on tu przyszedł pierwszy raz, z daleka,
nie z takich borów jak nasz, lecz sosnowych,
gdzie nasza Baba zimą przemieszkuje;
ze swoją matką-wdową osierociał,
więc wujek Lew wziął ich pod swoją strzechę...

MAWKA

Rada bym przyjrzeć mu się bliżej.

DZIAD LEŚNY

Córko,
cóż ci do niego?

MAWKA

A jeżeli ładny?

DZIAD LEŚNY

Ty się na ludzkich chłopców nie zapatruj!
Bo to dla leśnych panien niebezpieczne...

MAWKA

O, jaki srogi się zrobiłeś, dziadziu!
Czyżbyś mnie trzymać chciał w takim posłuchu
jak Wodnik swą Rusałkę?

DZIAD LEŚNY

Nie, dziecino.

Ja ciebie w ryzach nie trzymam. To Wodnik od niepamięci zwykł w swą topiel grząską wszystko, co żywe, wsysać. Ja – przeciwnie, szanuję cudzą wolę. Baw się zdrowo i z Pokusnikiem, jak chcesz, przekomarzaj, możesz ku sobie wabić wszystkie moce leśne i wodne, górskie i powietrzne, jeno omijaj, córko, ludzkie ścieżki, bo nie swoboda po nich, ale troska dźwiga swój tobół. Omijaj je, córko: raz na nie wstąpisz – i już po swobodzie!

MAWKA

śmieje się

Jakimż to cudem swoboda przepadnie?
Chyba na świecie wicher wiać przestanie!

Dziad Leśny chce coś odpowiedzieć, ale właśnie ukazał się Łukas z fujarką. Dziad Leśny i Mawka kryją się. Łukas zamierza nadciąć cygankiem brzozę, żeby nasaczyć soku. Mawka wybiega i chwytą go za rękę.

MAWKA

Nie rusz! Nie tykaj! Nie tnij! Nie zabijaj!

ŁUKASZ

Co ci, dziewczyno? Czy to ja zbój jakiś?
Soku natoczyć sobie chciałem nieco
z brzozy.

MAWKA

Nie ruszaj! To krew, co ją żywi.
Nie pij krwi mojej siostrzyczki rodzonej!

ŁUKASZ

Brzozę nazywasz rodzoną swą siostrą?
Coś ty za jedna?

MAWKA

Jestem Mawka leśna.

ŁUKASZ

przyglądając się jej nie tyle ze zdziwieniem, co z uwagą

Mawka! Ja nie raz o Mawkach słyszałem
od starych ludzi, ale sam ich nigdy
nie oglądałem.

MAWKA

Aleś chciał zobaczyć?

ŁUKASZ

Czemu nie?... Widzę, że jesteś podobna
do dziewcząt... abo do panny ze dworu,
bo ręce białe masz i cienkaś w pasie,
i jakoś nie po naszymu odziana...
A jakież ty masz oczy – nie zielone?

wpatruje się

Ależ nie, teraz zielone... choć były
jak niebo modre... O! Teraz znów siwe
jak tamta chmurka... Skądże, teraz czarne
czy może kare... Aż mnie dziw ogarnia!

MAWKA

uśmiechając się

A czy ci się podobam?

ŁUKASZ

zawstydzony

Nie wiem... chyba...

MAWKA

śmiejąc się

A kto ma wiedzieć?

ŁUKASZ

całkiem zbity z tropu

O co ty się pytasz?...

MAWKA

ze szczerym zdziwieniem

Czyżby się o to nie godziło pytać?
Spójrz, jak się pyta dzika róża w borze:
„Czym ładna może?”
A jesion głową kiwa i przyświadcza:
„Tyżeś najgładsza!”

ŁUKASZ

Ja nie wiedziałem, że do siebie mówią.
Myślałem, że są nieme, jak to drzewa...

MAWKA

Tu, w naszym lesie, nie znajdziesz niemowcy.

ŁUKASZ

I tak przez całe życie mieszkasz w lesie?

MAWKA

Nie wychodziłam z niego nigdy dotąd.

ŁUKASZ

Jak dawno żyjesz na świecie?

MAWKA

Doprawdy,
nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Zamyśla się.

Zdaje mi się, że żyć musiałam zawsze...

ŁUKASZ

I zawsze byłaś taka jak dziś jesteś?

MAWKA

Myślę, że zawsze.

ŁUKASZ

A rodzice twoi?
Może ich wcale nie masz?

MAWKA

Mam rodziców.
Jest Leśny Dziad, to „dziadkiem” go nazywam,
on za to mnie „dzieciną” albo „córka”.

ŁUKASZ

To dziadek twój czy ojciec?

MAWKA

Skąd mam wiedzieć?
Czy to nie wszystko jedno?

ŁUKASZ
śmieje się

Dziwni żeście
w tym waszym lesie! Któż jest tedy matką
czy babką, jak tam u was się przyjęło?

MAWKA

Wydaje mi się czasem, że ta wierzba
stara i sucha – to mateczka moja.
Na zimę mnie u siebie przytuliła
i miękkim próchnem jak mogła utkała
dla mnie posłanie.

ŁUKASZ

Tyś tam zimowała?
A co robiłaś tam przez całą zimę?

MAWKA

Nic. Spałam sobie. A co zimą robić?
Jezioro śpi, śpią lasy i sitowie.
Wierzba wciąż „uśnij, uśnij” mi skrzypiała
i we śnie śniła się kraina biała:

błyskał na srebrze diament lodowaty
i słały się nieznane zioła, kwiaty
białe, błyszczące... Wolnym, lekkim lotem
spadały gwiazdy ze srebrnym migotem
w puchate stogi. Świat czysty i biały
był dookoła. Perły i kryształy
jak z naszyjników rozsyłają ognie...
Spałam. Piers moja tchnęła tak swobodnie...
Z białymi snami snów różowych tkanek
splotła się jak powiewna wyszywanka,
złoto i błękit w marzeniach się plecie,
spokojne, ciche, inne niżli w lecie...

ŁUKASZ
zastuchany

Jak ty to mówić umiesz...

MAWKA

Miło słuchać?

Ł u k a s z przytakuje głową.

Twoja fujarka piękniej opowiada.
Zagraj mi trochę, to się pokołyszę.

M a w k a splata długie witki brzozy, siada w nich i kołysze się powoli niczym w kolebce. Ł u k a s z gra, oparty o dąb, i nie spuszcza oczu z M a w k i. Gra nutę „Wiosnianki”. M a w k a przysłuchując się bezwiednie wtóruje mu cicho na tę samą nutę.

MAWKA

Jak słodko wygrywa,
przenika do żywa
niby nożem piersi białe, serce z nich wyrywa!

Na nutę „Wiośnianki” odezwie się kukulka, po niej słowik, zajaskrawi się dzika róża, zabieleje liść kaliny, głóg rumieni się wstydliwie, nawet czarna bezlistna tarnina osypie się drobnym kwieciem. M a w k a, oczarowana, kołysze się z lekka, uśmiecha się, aż jakiś smutek łzami naplnił jej oczy. Spostrzegł to Ł u k a s z i przestał grać.

ŁUKASZ

Cóż ty, dziewczyno, płaczesz?

MAWKA

Czy ja płacę?

Przesuwa dłonią po oczach.

Czyżby... Skąd znowu! To rosa wieczorna.
Słońce zachodzi... Popatrz, już gęstnieje
mgła nad jeziorem...

ŁUKASZ

Ii, toć jeszcze wcześniej!

MAWKA

A co – do końca dnia nie śpieszno tobie?

Ł u k a s z potrząsa głową, że nie.

MAWKA

Czemu?

ŁUKASZ

Bo dziadek do dom zawołają.

MAWKA

A ty chcesz zostać ze mną?

Ł u k a s z kiwa głową twierdząco.

Patrzcie no go –
Ty też podobnie rozmawiasz jak jesion.

ŁUKASZ
śmiejąc się

Pora nauczyć się po tutejszemu,
bo lato przyjdzie tu spędzić.

MAWKA
ucieszona

Naprawdę?

ŁUKASZ

Od jutra już budować się zaczniemy.

MAWKA

Kleciecie szafas?

ŁUKASZ

Nie, musi komorę,
albo i całą chatę.

MAWKA

Wy – to niczym ptaki
krzątacie się, wijećcie swoje gniazda,
by je opuścić.

ŁUKASZ

Nie, my budujemy
na całe życie.

MAWKA

Na całe? Mówiłeś,
że jeno lato przemieszkacie tutaj.

ŁUKASZ

zmieszany

Nie wiem z pewnością... Wujek powiadają,
że mi tu spłacheć dadzą i zagrodę,
bo mnie na jesień żenić zamiarują...

MAWKA
spłoszona

Z kim?

ŁUKASZ

Nie wiem. Dziadek nie mówią na razie,
może nie zmówili narzeczonej.

MAWKA

A sam nie wypatrzyłeś sobie jakiej?

ŁUKASZ

Może wypatrzyłbym, ino...

MAWKA

Co?

ŁUKASZ

Nie szło...

*Zagrywa z cicha na fujarce coś bardzo smętnego, po
chwili opuszcza rękę z fujarką i zamyśla się.*

MAWKA
po chwili milczenia

A czy na długo ludzie się kojarzą?

ŁUKASZ

Na całe życie!

MAWKA

To tak jak gołębie...
Czasem im zazdrościłam, że tak tkliwie
gruchają sobie... Ja bo nic tkliwego
nie znałam w życiu oprócz jednej brzozy,
dlatego też nazywam ją siostrzyczką;
lecz ona mi za bardzo smętna zda się,
taka skulona, blada i markotna,
że często płaczę, kiedy spojrzę na nią.
Olchy nie lubię – taka nieużyta;
osika lęk wciąż jakiś we mnie budzi,
a sama też się boi – wiecznie drżąca;
dęby są zbyt dostojne. Dzika róża
zaczepna jest, nie lepszy głóg z tarniną.
Jesion zaś, klon i jawor nieprzystępne.
Kalina tak się szczyci swą urodą,
że wszystko jej na świecie obojętne.
Zeszłego lata i ja byłam taka,
ale mi przez to jakoś dziś nieswojo.
Jak zastanowić się, to jestem w lesie
całkiem samotna...

Pograża się w zadumie.

ŁUKASZ

A co wierzba twoja?
Przecież ją mateczką swą nazwała.

MAWKA

Ach, wierzba? Cóż... zimować dobrze u niej,
lecz latem... taka sucha jest, jak widzisz,
wciąż skrzypi, wciąż mi zimę przypomina...
Nie, i tak jestem sama, samiuteńka...

ŁUKASZ

Przecie nie same drzewa rosną w lesie –
macie tam mocy różnych zatrzęsienie.

z lekką kpina

Już nie wyplakuj się, bo coś tam wiemy
o waszych płasach, psotach i swawoli!

MAWKA

Wszystko to jak ów nagły podmuch wiatru –
który przybiegnie, zakrąży i rzuci.
To nie tak, jak jest u ludzi – na zawsze!

ŁUKASZ
podchodząc bliżej

A ty byś chciała?
Nagle rozlega się głośne nawoływanie wujka L w a.

GŁOS

Hej tam, hej – Łukasz!
Hop-hop! Gdzie jesteś?

ŁUKASZ

Idę, dziadku, idę!

GŁOS

Chodźże no prędzej!

ŁUKASZ

A to ci gorączka!

odkrzykuje

Już idę, idę!

Zbiera się do drogi.

MAWKA

A czy wrócisz?

ŁUKASZ

Nie wiem.

Odchodzi w zarośla na brzegu.

Z gęstwy lasu wybiega P o k u ś n i k – urodziwy chłopak w czerwonym stroju, z czerwoną bujną czupryną rozwianą jak wicher, czarnobrewy, z błyskiem w oku. Chce objąć M a w k ę, która się wymyka.

MAWKA

Nie ruszaj mnie!

POKUŚNIK

Czemuż to niby?

MAWKA

Idź
popatrzeć, jak ruń w polu się zieleni...

POKUŚNIK

A cóż obchodzi mnie ta ruń?

MAWKA

Tam przecie
twoja Rusałka Polna w życie mieszka.
Wszak ona z bujnej, soczystej zieleni
wieniec dla ciebie wije nie na darmo.

POKUŚNIK

Już zapomniałem.

MAWKA

To i mnie zapomnij.

POKUŚNIK

Nie bocz się tak! Chodź, polecimy razem!
Zaniosę cię na skraj gór zielonych –
tak przecie świerki pragnęłaś zobaczyć.

MAWKA

A teraz nie chcę.

POKUŚNIK

Nie chcesz? Czemuż to?

MAWKA

Bo odechciało mi się.

POKUŚNIK

Dziw nad dziwy!
Z jakiej przyczyny?

MAWKA

Odeszła mnie chęćka.

POKUŚNIK

uwija się wokół niej pokuśliwie

Lećmy, pędźmy w góry, gdzie moje siostrzyce,
panny gór i dolin, swobodne wietrznice
w korowodzie mknąc okrażają okolicę
niczym błyskawice!

Miejsce to znajdziemy, gdzie kwitną paprocie,
gwiazdkę ci zerwiemy z nieba w skier migocie
i na wiecznym śniegu wybielimy w locie
cudny welon dla cię!

By leśną na czoło ci włożyć koronę,
Królowej-Smoczycy zawładniemy tronem
dzierżąc w garści twierdze gór niezwyciężone!

Bądź mi ukochaną!
Co wieczór i rano
w klejnotów zawieję
ciebie przyodzieję,
wieńce będę pleść
i do tańca wieść,
i na skrzydłach nieść

nad purpurę morza, w której szczodre słońko
co wieczora chowa skarbów swoich moc,
potem jasnej gwieździe zajrzymy w okienko,
gwiazdka-prządka srebrne poda nam włókienko,
byśmy nim dziergali aksamitną noc.

Zaś o świcie, kiedy obłoków gromada
zabieleje w niebie niby owcze stada,
żeby chłodną wodę pić ze strugi cichej,
odpoczniemy słodko na kwietnym...

MAWKA

Poniechaj!

POKUŚNIK

Co za gniew w tym głosie – jaka sroga mina!

smętnie i kpiąco zarazem

Tak to się ubiegłe lato zapomina?

MAWKA

obojętnie

Zeszłoroczne lato dawno przeminęło!
Co wówczas śpiewało, to w zimie usnęło.
Wywietrzało z głowy!

POKUŚNIK

napomykając

Wtedy – wśród dąbrowy?

MAWKA

Jagód szukałam, grzybów, idąc lasem...

POKUŚNIK

Moim tam śladem nie chodziłaś czasem?

MAWKA

Chmielu kędziorki zrywałam poza tym...

POKUŚNIK

Żeby mi były posłaniem puchatym?

MAWKA

Nie – by we włosy zaplatać je czarne!

POKUŚNIK

Myślałaś: może do serca przygarnę?

MAWKA

Nie – brzoza jeno tuliła mnie błogo.

POKUŚNIK

A przecie... wyznaj: kochałaś tam kogo?

MAWKA

Ha, ha, ha! Kto to wie?

Las może ci powie.

Ja pójdę pierwiosnki zaplatać we włosy...

Kieruje się do lasu.

POKUŚNIK

Uważaj – bo zimne wypłuczą je rosy!

MAWKA

Wiaterek powieje,
słoneczko przygrzeje,
rosy oschną łązy!

Znika w lesie.

POKUŚNIK

Zatrzymaj się krzyne,
bo bez ciebie ginę!
Gdzieżeś? Gdzieżeś ty?

Sam też biegnie do lasu. Chwilę jeszcze pomiędzy drzewami miga jego czerwony strój i niczym echo rozlega się „Gdzieżeś ty...”

Las jeszcze mieni się czerwono w zachodzącym słońcu, po czym przygasa. Nad jeziorem gęstnieje biały opar.

Wujek Lew i Łukasz wychodzą na polanę.

LEW

burczy gniewnie

Przeklęty Wodnik! A bodajby usechł!

Ledwie nałowił ryb i wypłynąłem
łódeczką na kotłinę – chciałem bo
przeprowadzić się na drugi brzeg – a ten ci
jak swoim łapskiem w dno łodzi się wpije,
to ani rusz! O mało nie zatopił!
Lecz ja nie kiej, jakem mu w garść ucapił
brodzisko, tom je jak kądziel namotał,
zza pasa kozik – i na miły Bóg –
ciachnąłbym! Ale ten nicpoń przekłety
jak bryknie – to dnem do góry łódeczkę!
Ledwie się z duszą na brzeg wygramolił
i rybym stracił... A bodajbyś szczeł!

do Łukasza

Ty także czegoś się tu uczepiłeś –
ja krzyczę, hukam, wołam – kamień w wodę.
Gdzieś się podziewał?

ŁUKASZ

Ano byłem tutaj,
fujankę wycinałem.

LEW

Coś ty długo,
siostrzanie mój, wycinasz te fujarki!

ŁUKASZ
niepewnie

A bo, wujaszku...

LEW

uśmiechnął się i złagodniał

Ty mi łąć się nie ucz,
boś jeszcze młody! Żal języka na to!
Lepiej byś chrustu po lesie poszukał,
ognisko roznieć, to się choć wysuszę;
bo jakże iść do domu w takim stanie?
A nuż przydybie *ta*, zanim dojdziemy –
tfu, byle nie wymówić w złą godzinę,
a potem duszę wytrząsać rozpocznie...

*Ł u k a s z idzie do lasu; słycać niebawem, jak chrzęści
suchymi gałęźmi.*

*W u j e k L e w siada pod dębem i próbuje skrzesać ognia,
żeby zapalić fajkę.*

A bo wykrszeszesz, człeku! Huba zmokła...
Krzesiwom zgubił... Aj, nie ma na ciebie
jasnej gorączki!... Może tam na dębie
świeża wyrosła?

*Obmacuje dąb szukając huby. Z jeziora, z oparów wyla-
nia się biała postać kobieca, bardziej przypominająca
mglistą smugę niż człowieka; wyciągnięte do przodu dłu-
gie białe ręce drapieżnie poruszają chudymi palcami, gdy
się przybliża do wujka L w a.*

LEW

A cóż to za mara?

Wiem przecie. Dobrze, żem ujrzał zawczasu.

Opamiętawszy się wyjmuje z torby jakieś korzonki i zioła i wyciąga naprzeciw Marze, jakby zastaniając się przed nią. Tamta cofa się nieco. On zaś zamawia dobitnie, przyspieszając coraz bardziej zakłęcie.

Sycząca pannico

Przepaśnico-Trzęsawico!

Idź sobie na kępy, na błotne ostępy,
gdzie ludzie nie chodzą, gdzie kury nie piją,
gdzie mój głos nie dotrze.

A tu nie masz chodzić,
białego ciała wędzić,
w żółtą kość nie wnikać,
czarnej krwi nie spijać,
żywota nie skracać.

Oto piołun – naści,
skończ swoje napaści!

Mara cofa się w stronę jeziora i roztapia we mgle.

Nadchodzi Łukasz z nareczem chrustu, zrzuca przed wujkiem, wyjmuje z zanadru krzesiwo i hubkę, i roznieca ogień.

ŁUKASZ

Grzejcie się, wujku.

LEW

Dzięki ci, siostrzanie,
że tak staremu wujkowi dogadzasz.

Rozpala fajkę od ognia.

To co inszego.

*Uklada się na trawie za ogniskiem, podłożywszy torbę
pod głowę, pyka z fajki i mruży oczy patrząc w ogień.*

ŁUKASZ

Może byście, wujku,
wspomnieli bajkę jakaś.

LEW

Patrzcie 'gc!
Mały się zrobił!... A jakiej byś chciał?
O Ochu-Dziwotworze? O Trzem-synu?

ŁUKASZ

Słyszałem o nich. Insze potraficie,
co ich nikt nie potrafi.

LEW

po namyśle

No to słuchaj:

opowiem ci o Fali-królewiance.

Zaczyna spokojnym, śpiewnym, miarowym głosem.

Byłaby chata ciepła

i ludziska dobrzy,

gadalibyśmy gadkę

 i bajkę bajali

 do samego świtu...

 Za ciemnymi borami,

 za głębokimi morzami,

 za wysokimi górami

jest dziwny-przedziwny kraj,

 gdzie króluje Uráj.

A w onym kraju słońce nie zachodzi,

 miesiączek równo świeci,

 a jasne gwiazdy po polu chodzą,

 korowody wodzą.

A ta najpiękniejsza gwiazda miała syna,

 - Białego Palanina,

 co miał liczko białe

 i obejście miłe,

 złoty mł włós na wietrze wieje,

 a srebrny oręż w ręku jaśnieje...

ŁUKASZ

Mieliście o królewiance...

LEW

Zaczekaj!

A jak Palanin Biały jał do lat dochodzić,
takie mu myśli jęły w głowie brodzić,
o życiu swoim zaczął rozważać:
„Nade wszystkich, powiada, urodą się sławie,
a jeszcze doli swojej nie odnalazł prawie.
Ty mi, Gwiazdo-matko, poradź,
jak się mam o nią postarać:
czy między bojarstwem,
przesławnym rycerstwem,
z książęcego rodu
czy też prostego ludu?
Boć jeno jaka carówna
byłaby mi równa...”

Ogarnia go senność.

Poszedł zatem nad morze modrzejące
i rozłożył na brzegu naszyjnik perłowy...

ŁUKASZ

Coś pominęliście, wujku, po drodze.

LEW

Czyżby?... Ty ino nie przerywaj gadki!
...A tu na morzu fala z przeciwka nadbiega,
a z onej fali wyleciały konie
jak żar czerwone
i do kolasy kraśnej zaprężone...
A w tej kolasie...

Ucicha, zmorzony snem.

ŁUKASZ

A któż był w tej kolasie? Królewianka?

LEW

przez sen

Co? Jaka królewianka?...

ŁUKASZ

Jużeście zasnęli!

Czas jakiś patrzy zamyślony na ognisko, po czym wstaje, odchodzi dalej od ognia i przechadza się po polanie, cicho-cichusieńko, ledwie słyszalnie przygrywając na fujarce.

W lesie zmierzcha, jednakże mrok nie jest gęsty, lecz przejrzysty, jak to bywa przed wschodem księżyca. Wokół ogniska błyski światła i załamujące się cienie jak gdyby odprawiały fantastyczny taniec; bliżej ognia kwiaty to rozbłyskują barwami, to gasną w półmroku. Na skraju lasu pnie osik i brzoź bielą się tajemniczo. Niecierpliwie wzdycha wiatr wiosenny obiegając skraj lasu i rozwiewając gałązki brzozy płaczącej. Mgła nad jeziorem białymi falami dociera do czarnych zarośli, sitowie szepce coś turzycy kryjąc się we mgle.

*Z gęstwiny wybiega Ma w k a. Biegnie szybko, jakby uciekała: włosy ma wzburzone, ubiór rozchełstany. Przystanęła na polanie, oglądając się za siebie, tuli rękoma serce, znów rzuca się w stronę brzozy i jeszcze raz przy-
staje.*

MAWKA

Szczere dzięki, nocko – czarodziejko miła,
za to, żeś ty liczko moje zasłoniła!
A i wam, leśne zawiłe dróżki,
coście przywiodły mnie tu do brzoźki!
Skryj mnie u siebie, siostrzyczko, w potrzebie!

Kryje się pod brzozą, obejmując jej pień.

ŁUKASZ

podchodzi do brzozy; szeptem

To ty, Mawko?

MAWKA

Ja.

ŁUKASZ

Biegłaś?

MAWKA

Niczym wiewiórka.

ŁUKASZ

Uciekałaś?

MAWKA

Tak.

ŁUKASZ

Przed kim?

MAWKA

Przed takim, co jak sam ogień.

ŁUKASZ

Gdzież on jest?

MAWKA

Ćśś!... Bo znów przyleci.

Milczenie.

ŁUKASZ

Jak ty drzysz! Słyszę nieomal, jak brzoza kurczy się w sobie i liśćmi szeleści.

MAWKA¹

odsuwa się od brzozy

Niedobrze! Nawet przytulić się boję.
a ustać trudno.

ŁUKASZ

To przytul się do mnie,
sił dość – podtrzymam, i jeszcze obronię.

M a w k a nachyla się ku niemu. Stoją we dwójkę. Światło księżyca zaczyna przenikać las, ściele się na polanie i dociera pod brzozę. W lesie rozlega się śpiewanie słowików i wszystkie głosy nocy wiosennej. Wiatr wzdycha gwałtownie. Z promienistych oparów wychodzi R u s a ł k a i cichcem podgląda młodą parę.

Ł u k a s z, przygarniając do siebie M a w k ę, coraz bliżej nachyla twarz ku niej i wreszcie całuje.

MAWKA

krzyknęła z bólu szczęścia

Och!... Gwiazda w serce wpadła!

RUSAŁKA

Cha, cha, cha!

Ze śmiechem i pluskiem rzuca się do jeziora.

ŁUKASZ

przestraszony

Co to takiego?

MAWKA

· Nie bój się, Rusałka.
Nie ruszy nas, bo się przyjaźni ze mną.

Swawolna jest i pożartować lubi,
ale nie zważam na to... Już nie zważam
na nic na świecie...

ŁUKASZ

To i na mnie?

MAWKA

Nie.

Tyś sam świat dla mnie, miłszy i piękniejszy
niż ten, co znałam dotąd, a i ten
wypiękniał, odkądśmy się złączyli.

ŁUKASZ

Tośmy się już złączyli?

MAWKA

Czyż nie słyszysz,
jak nam słowiki dzwonią pieśń wesela?

ŁUKASZ

Słyszę... Już nie szczebiocą jak zazwyczaj
i nie kłaskają, ale wyśpiewują:
„Całuj ją! Całuj! Całuj!”

Całuje ją długim, tkliwym, drżącym pocałunkiem.

Zacząłuję
ciebie na śmierć.

*Zrywa się wichura i zamieć białego kwiecica krąży wokół
polany.*

MAWKA

Nie, śmierć mi nie sądzona...
a szkoda...

ŁUKASZ

Coś ty powiedziała? Nie chcę!
Com ja wymówił?!

MAWKA

Jak byłoby dobrze –
umrzeć jak gwiazda spadająca...

ŁUKASZ

Dość!

mówi, tuląc ją

Nie chcę słów takich słyszeć! Nie mów nic!
Nic nie mów!... Albo lepiej powiedz mi coś!
Dziwną masz mowę, lecz mi jakoś dobrze,
kiedy jej słucham... Czemu nic nie mówisz?
Gniewasz się na mnie?

MAWKA

Nie, ja słucham cię,
twego kochania...

Obejmuje rękoma jego głowę, zwraca ją twarzą do księżycy i bacznie wpatruje mu się w oczy.

ŁUKASZ

Czemuż tak? Strach bierze,
jak ty oczyma zaglądasz w głąb duszy...
ja tak nie mogę! Mów, zażartuj sobie,
pytaj mnie, mów, że kochasz, śmieję się do mnie...

MAWKA

Głos czysty masz niby strumyczek w lesie,
lecz wzrok nieprzenikniony.

ŁUKASZ

To miesiącek
słabo przyświeca.

MAWKA

Może...

Nachyla głowę nad jego sercem i nieruchomieje.

ŁUKASZ

Co ci? Słabo?

MAWKA

Ćś... Niechaj mówi serce... Niewyraźnie
coś wypowiada jak nocka wiosenna.

ŁUKASZ

Nie ma tam czego słuchać! Nie potrzeba!

MAWKA

Nie trzeba, mówisz? To nie trzeba, miły!
Nie trzeba, luby! Szczęście moje, nie chcę,
nie będę się wsłuchiwać, mój ty dobry,
pieścić cię będę, moje ukochanie!
Lubisz pieszczoty?

ŁUKASZ

Z nikim ani razu
się nie kochałem. Nie wiedziałem nawet,
że taka słodczy w miłowaniu!

*M a w k a pieści go namiętnie, aż ten woła z bólu roz-
koszy.*

Mawko!
ty duszę wyjmiesz ze mnie!

MAWKA

Wyjmę, wyjmę!
Zabiorę sobie twoją śpiewną duszę,
a serce ci omotam zaklinalaniem...
Całować będę twoje usta kształtne,
by zapalały,
by rumieniały
jak dzikiej róży płateczki szkarłatne!
I wabić oczy, co modro się mienia,
niech jasno błyszczą,
niech się roziskrzą
podobne drogocennym kamieniom!

Raptem klasnęła w dłoń.

Ale czym oczy miłego przynęcę?
Wszak dotąd wianka nie uplotłam!

ŁUKASZ

Głupstwo!

Bez kwiatów jesteś ładna.

MAWKA

Nie, ja pragnę
dla ciebie tak kwiatami się ozdobić
niby królowna leśna.

*Biegnie na drugi koniec polanki, w dali od jeziora,
w stronę kwitnących krzewów.*

ŁUKASZ

Czekaj chwilę!
Sam cię ukwiecę.

Idzie ku niej.

MAWKA
ze smutkiem

Ale już nieładne
kwiatki po nocy... ugasły kolory...

ŁUKASZ

Popatrz, świetliki są w trawie, nazbieram,
będą świeciły się w twoich warkoczach,
to będziesz niczym w wianku z gwiazd.

Wkłada jej kilka świetlików we włosy.

Daj, niechaj
przypatrzę ci się... Jaka żeś ty piękna!

Nie mogąc się pohamować ze szczęścia, porywa ją w objęcia.

Jeszcze nazbierać muszę. I ubiorę
cię klejnotami niczym królewiankę!

Szuka w trawie świetlików pośród zarośli.

MAWKA

A ja kaliny kwitnącej nałamię,
co nie śpi, bo ją słowik ze snu budzi.

Łamie białe od kwiecia gałęzie i przystraja się nimi.

RUSAŁKA

*znów wylania się z oparów; szepce, zwrócona w stronę
sitowia*

Dzieciątka – Niechrzczeniec,
zaświećcie kagańce!

*W sitowiu zamigotały dwa błędne ogniki. Ukazują się
Niechrzczeniec, w dłoniach mają kaganki, które mi-
gocą, to jasno rozblyskując, to całkiem gasnąc. - Rusalka
przygarnia je do siebie i szepce ukazując w dali bia-
łą postać Łukasza, majaczącą w mroku między kępa-
mi.*

Przypatrzcie się temu, co tam się błąka
jak tatko wasz, ten, który was porzucił
i doprowadził do zguby matkę.
On nie powinien żyć.

I NIECHRZCZENIEC

Więc utop go!

RUSAŁKA

Ja nie śmiem. Dziadek leśny mi zabronił.

II NIECHRZCZENIEC

A myśmy mali, to nie poradzimy.

RUSAŁKA

I malutcy,
i leciutcy,
w ręku ogieńki jaśniutkie,
wy jak łasice cichutkie –
tatarakiem suńcie wraz,
by nie słyisał Leśny was,
bo jak ściśnie,
ognik błysnie –
i już zgasł.
Błyskawicami przelećcie,
ścieżką wiedźcie,
w kępie się rozjarcie blisko,
zaprowadźcie w trzęsawisko,
gdzie podąży,
wnet się graży
na dno bagna moja zdobycz...
Dalej – to już wiem, co robić!
No! Mig – mig!

NIECHRZCZENIEC

wyruszając, jeden do drugiego

Ty z tej, ja z tamtej strony,
spotkamy się u toni!

RUSAŁKA
z uciechą

Poszły już.

Podbiega do bagniska i chlapie wodą za siebie. Zza kępy wyskakuje Kusy, młodziutki diabelski panicz.

Kusy, Kusy,
proszę o całusy!

Swawolnym ruchem wyciąga do niego rękę, Kusy całuje.

KUSY

Za cóż to, kochanko?

RUSAŁKA

A ja ci śniadanko
przygotuję, byleś nie przegapił sprawy.

Wskazuje z dala na Łukasza.

No cóż? Nie smakują ci takie potrawy?

KUSY
machnąwszy ręką

Dopóki nie w bagnie,

ino gardło pragnie!

RUSAŁKA

Będzie twój, nie kłamie!
Radość sprawisz swojej kobiecie i mamie!

*Kusy daje susa za kępę i znika. Rusałka w sitowiu
wodzi oczyma za Niechrzczeńcami, które migocą
w biegu, jarzą się, błyskają, snują się, przebiegają.*

ŁUKASZ

szukając świetlików spostrzega błędne ognie

Jak piękne te świetliki! Latające!
Jeszcze nie widział takich! Ależ wielkie!
Muszę je złapać!

*Ugania się to za jednym, to za drugim, niepostrzeżenie
wciągają go w trzęsawisko.*

MAWKA

Nie goń ich, miły!
Kochany, nie łap ich! To są Niechrzczeńce!
Nie wiada gdzie zaciągną!

*Łukasz nie słyszy, roznamiętniony pogonią, i odbiega
daleko precz od Mawki.*

ŁUKASZ
nagle zakrzyczał

Boże! Ginę!
Do bagna wpadłem. Ojej, wsysa! Wciąga!

Na krzyk jego przybiega Mawka, jednakże nie może się doń dostać, bo ugrzązł z dala od stałego brzegu. Rzuca mu koniec swojego pasa, przytrzymując drugi.

MAWKA

Chwytaj!

pas nie dosięga ręki Łukasza

ŁUKASZ

Oj, nie dosięga! Co to będzie?

MAWKA

rzuca się ku wierzbie, która stoi pochylona nad trzęsawiskiem

Wierzbo, matusiu rodzona, poratuj!

Prędko jak wiewiórka pnie się na wierzbę, zsuwa się po najdalszej gałęzi, rzuca znów pasek, który tym razem dosięga – Ł u k a s z chwytą za koniec, M a w k a przyciąga go do siebie, po czym podaje rękę i pomaga mu wspiąć się na wierzbę.

*Rusałka w sitowiu wydaje głuchy jęk rozczarowania
i znika za mgłą. Niechrzczence też znikają.*

WUJEK LEW
budząc się od zgiełku

Ha!... Co takiego? Znowu jakaś mara?
Tfu, zgiń, przepadnij!

Rozgląda się.

Hop, hop, Łukasz! Gdzieś ty?

ŁUKASZ

Tu, wujku, jestem!

LEW

Co ty tu wyprawiasz?
Na wierzbę wlaźł, i to z dziewuchą!

Łukasz schodzi z wierzby, Mawka tam pozostaje.

ŁUKASZ

Wujku!

Jużem się tu pograżył w trzęsawisku,
bom wleciał w oko, ale ona mnie

wskazuje Mawkę
poratowała jakoś.

LEW

Czemuż ty
obijasz się tu niczym jaka zmora?
Toż ciemna noc!

ŁUKASZ

Łapałem w garść świetliki...

urywa

LEW

dostrzega świetliki na M a w c e

Ba! Jakbyś tak powiedział, tobym wiedział!
Teraz już widzę sam, czyja to sprawka.

MAWKA

Przecie uratowałam go, wujaszku.

LEW

Ciewy – „wujaszku”. Ładna siostrzenica!
A kto go skusił, żeby laził w pułapkę?

Trzęsie głową z wyrzutem.

Ech, leśne plemię! Taka zacność wasza!...
No, niech no trafię na Leśnego Dziada,
to już nie wyrwie się – w dębowy pniak

wszczepię brodzisko jego jak pomiotło,
to będzie widział! Patrzcie go, podsyła
swoje dziewczuchy, a sam niby nic!

MAWKA

prędko zbiega z wierzby

Nie, on nie winien! Niech królowa zmij
pokarze mnie, jeżeli to nieprawda!
I ja niewinna jestem!

LEW

Teraz wierzę,
bo wiem, że to przysięga u was mocna.

ŁUKASZ

Ona uratowała mnie, wujaszku,
bo bez niej zginąłbym, na miły Bóg!

LEW

Ano, dziewczuszko, choć ty nie masz duszy,
za to masz dobre serce. Daruj,
żem zburczał cię w gorącości.

do Ł u k a s z a

Czemuś
za świetlikami pędził na bagnisko?
A bo to one w kępach się gromadzą?

ŁUKASZ

To były jakieś takie latające!

LEW

Ha! Toć je przecie znam! To są Niechrzczeniec!
Czekajcie ino, to jutro sprowadzę
pieski-wilczarże, wtedy zobaczymy,
kto tu zaskomli!

GŁOSIKI NIECHRZCZEŃCÓW

odzywają się żałośliwe, przypominając kumkanie żab

Nie, nie, dziaduniu!
Myśmy nie chcieli,
myśmy w topieli
jagódki rwali.
Byśmy wiedzieli,
że ktoś tu gości,
byśmy siedzieli
na głębokości...
Ach, mamó, strach!
Już my we łzach!

LEW

Cie ich, jak spłoszyło się niewierne plemię,
pomiot wiedźmowski! A już niech tam z nimi,
ja dojdę, kto tu winien, kto nie winien.

do Łukasza

A co, czy nie czas do domu, siostrzanku?
Chodźmy pomału.

do Mawki

Bądź zdrowa, dziewczyno!

MAWKA

A jutro czy przyjdziecie? To pokażę,
gdzie tu jest dobre drzewo na budowę.

LEW

Widzę, żeś wypytała się o wszystko!
Bystra! Cóż, przyjdź, ja z wami oswojony,
to i wam z nami oswoić się trzeba.
Idziemy. Bywaj!

Wyrusza.

MAWKA

bardziej do Łukasza niż do Lwa

Ja będę czekała!

*Łukasz pozostaje za wujem, ściska w milczeniu rękę
Mawki, całuje ją bezgłośnie i doganiając wuja idzie z
nim do lasu.*

MAWKA

Obyś ty, nocko, co prędzej zbiegła!

Wybacz mi, kochana! Anim spostrzegła,
by który dzionek, gdy nie brak słońca,
był jak ty – szczęśliwa i jaśniejąca!
Czemuż cię, brzozo, smutek okrywa?
Spójrz na mnie, siostrzyczko, jakam szczęśliwa!
Nie roń, wierzbino, leż w wodę ciemną,
mój miły, mateczko, zostanie ze mną!...
Ojczy rodzony, ciemniutki borze,
daleko do ranka jeszcze być może?
Nocka króciuszka – długa rozłąka...
Szczęście mi sądzone – a nuż udreka?

Księżyc kryje się za ciemną ścianą lasu, na polanę spłynęła ciemność, czarna jak aksamit. Już nic nie widać, jedynie z dołu tli zarzewie pozostawione po ognisku, a po wianku ze świetlików można odgadnąć, któredy przechodzi Ma w k a pomiędzy drzewami: wianek ów jaśnieje to niczym cały gwiazdozbiór, to pojedynczymi iskierkami, wreszcie i jego okryła ciemność. Głęboka cisza jak o północy, jedynie czasem w lesie słychać leciutki szmer, jak gdyby westchnienie przez sen.

AKT II

Późnym latem. Na ciemnym zmatowiałym listowiu w lesie gdzieniegdzie przebija jesienna poztota. Jezioro zmalowało, poszerzyła się pływiczna przy brzegu. Szuwary szeleszczą sucho skąpym listowiem.

Na polanie już pobudowano chatę, zasadzono ogródek. Na jednym łanie wybujala pszenica, na drugim żyto. Po jeziorze pływają gęsi. Na brzegu suszy się bielizna, po krzakach sterczą garnki i dzbanki. Trawa na polanie skoszona do czysta, pod dębem ustawiono stóg. Po lesie zberkoczą kołatki – gdzieś pasie się bydło. Słychać w pobliżu fujarkę, która wygrywa jakąś dziarską taneczną nutę.

MATKA ŁUKASZA

wychodzi z domu i woła

Hop-hop, Łukaszu! Gdzieś ty?

ŁUKASZ

wychodzi z lasu z fujarką i rzeźbionym kijaszkiem w ręku

Tutaj, matuś.

MATKA

Abo nie dosyć tego wygrywania?

Wciąż gra i gra, a ty, roboto, stój!

ŁUKASZ

Czy jest robota jakaś?

MATKA

Jak to jaka?

A kto miał płot postawić przy oborze?

ŁUKASZ

Dobra już, dobra, niebawem postawię.

MATKA

A kiedy przyjdzie wreszcie to „niebawem”?
Bo ty byś ino cały dzień się włóczył
Z napaścią tą, co niby śnieg na głowę...

ŁUKASZ

A któż się włóczy? Przecie bydło pasę
i Mawka mi pomaga.

MATKA

Dobryś sobie
z taką pomocą!

ŁUKASZ

Samiście gadali,

że kiedy ona patrzy krów, to lepiej
doją się...

MATKA

Zawszeć to wiedźmowskie plemię!

ŁUKASZ

Już nie wiadomo, czym by wam dogodzić
A czy nam nie dźwigała drzewa, gdyśmy
stawiali chatę? A kto taki sadił
z wami rozsadę, zasiewał poletko?
A jeszcze jak pod oknem umaiła
rabatki – to aż oczom spojrzeć lubo!

MATKA

Na co te kwiatki! Przecie tu w zagrodzie
dziewuchy żadnej nie ma na wydaniu...
A jemu kwiatki i śpiewanie w głowie!

*Ł u k a s z w z r u s z a r a m i o n a m i z n i e c i e r p l i w i o n y i z b i e r a
s i ę d o w y j ś c i a .*

Dokąd to?

ŁUKASZ

Ano oborę ogrodzić!

*W y c h o d z i z a c h a t ę , n i e b a w e m s ł y c h a ć p o s t u k i w a n i e s i e -
k i e r y .*

M a w k a wychodzi z lasu przepysznie ukwiecona, z rozpuszczonymi warkoczami.

MATKA
niechętnie

Czegóż to?

MAWKA

A gdzie Łukasz jest, cioteczko?

MATKA

Czemuż ty wiecznie za nim? Nie przystoi dziewczynie tak uganiać za chłopakiem.

MAWKA

Tego mi jeszcze nie powiedział nikt.

MATKA

Więc choćby raz posłuchać nie zawadzi.

Wpija wzrok w M a w k ę.

Czemużeś wiecznie taka rozczochrana?
Czasu ci brak uczesać się jak ludzie,
ino jak wiedźma jalka. Nie uchodzi.
I co za łachy wciąż na sobie nosisz?
Do pracy w tym wychodzić nieporęcznie.

Mam coś tam jeszcze po córce-nieboszczce,
pójdiesz się ubrać – tam na kołku wisi,
a to, jak chcesz, ułożysz sobie w skrzyni.

MAWKA

Dobrze już, mogę się też i przeodziać.

Wchodzi do chaty, z której wychodzi wujek L e w.

MATKA

Podziękowałyby choć!

LEW

Co ty, siostró,
pomstujesz raz po raz na tę dziewczynę?
Albo to ona ci w czym zawiniła?

MATKA

Ty byś, brateńku, lepiej się nie wtrącał,
jak nikt cię nie zaczepia! Ty byś jeszcze
sprowadził tutaj wszystkie wiedźmy z lasu.

LEW

Jakby do rzeczy było to gadanie,
tobym posłuchał, ale jak mi prawią
o „wiedźmach z lasu” – gdzie tam znaleźć wiedźmy?
Wiedźmy po wsiach mieszkają...

MATKA

To już ty
wyznasz się na tym... Co mi tam, przywabiaj
hałastrę leśną, to się kiedyś jeszcze
dopytasz licha!

LEW

To się i dopytam.
W lesie hałastry żadnej nie ma, siostró,
za to są skarby wszelkie...

MATKA
drwiąco

I co jeszcze?

LEW

A z takich dziewczuch wyrastają ludzie!

MATKA

Jacy tam ludzie? Upiłeś się chyba!

LEW

Co ty wiesz? Dziad nasz nieboszczyk powiadał,
że trzeba ino znać pomocne słowo,
to w taką leśną dziewczkę może wstąpić

dusza nie insza od tej, co w nas siedzi.

MATKA

A gdzie się wtedy z niej ulotni duch
wiedźmowski?

LEW

A ty jedno i to samo?
Lepiej się wezmę za robotę jaką,
zamiast mleć po próżnicy!

MATKA

Idź!

a bo ci bronię?

L e w wychodzi za chatę, gniewnie potrząsając głową.

M a w k a wychodzi z chaty po przebraniu się: ma na sobie koszulę z cienkiego perkalu, ciasno skrojoną i połataną na ramionach, wąską spódniczynę z drukowanej tkaniny, włosy gładko zaczesane w dwa warkocze i owinięte wokół głowy.

MAWKA

Ja już się przebrałam.

MATKA

Tak to już co innego. Ja już pójdę,

za ten czas to się obrządę z kurami.
Już do konopi chciałam iść, a tutaj,
jak widać, wciąż robota nie skończona,
a ty coś do niej niezbyt...

MAWKA

Ale skąd!
Jak tylko umiem, chętnie dopomogę.

MATKA

Otóż to właśnie, że niezbyt potrafisz,
z plewieniem to u ciebie byle jako,
jak siano dźwigać – rozboleła głowa...
Skoro i żać tak będziesz...

MAWKA
spłoszona

Jak to? Żać?
Chcecie, ażebym żęła dziś?

MATKA

A niby
dlaczego nie? Czy mamy jakie święto?

Bierze zza drzwi w sionce sierp i podaje go Mawce.

Masz tutaj sierp – popróbuj. Jak obrządę,
to cię zastąpię.

Wychodzi za chatę biorąc z sieni rzeszoto z ziarnem. Niebawem słyhać, jak woła: „Cipuchny! Cipuchny! Cip cip cip! Cip cip cip! Cip cip!...”

Ł u k a s z wychodzi z siekierą i podchodzi do młodego grabu, chcąc go ściąć.

MAWKA

Nie ruszaj, kochany,
przecie jest mokry, jak widzisz.

ŁUKASZ

Daj spokój!

Czasu nie starczy!

M a w k a spogląda mu w oczy ze smutkiem.

No to daj mi suche...

MAWKA

śpiesznie wywleka z lasu spore suche drzewo

Znajdę ci jeszcze – a dużo potrzeba?

ŁUKASZ

A co? Tą jedną żerdzią mam ogrodzić?

MAWKA

Jakoś i ty zrobiłeś się niechętny...

ŁUKASZ

Bo matuś głowę suszą mi przez ciebie!...

MAWKA

Czego jej trzeba? I czego chce od nas?

ŁUKASZ

Toć synem jestem dla niej...

MAWKA

I co z tego?

ŁUKASZ

Wiesz, im nie widzi się taka synowa.
Oni leśnego rodu nie kochają...
i ty z nich świekrę niedobłą mieć będziesz!

MAWKA

W lesie nijakie świekry nie mieszkają.
Na co te wszystkie świekry i synowe –
nie pojme zgoła!

ŁUKASZ

Synową mieć muszą,
bo im wyręki potrza – już są starzy.

A obcej wciąż zapędzać do roboty
nie godzi się... Najmitki to nie córki...
Prawda, że ty wszystkiego nie zrozumiesz...
Po to, by pojąć wszystkie ludzkie troski,
nie starczy ino w lesie przemieszkować.

MAWKA
szczyrze

Tylko opowiedz mi, a ja zrozumieję,
bo przecie kocham ciebie... Zrozumiałam
wszystkie twe pieśni grane na fujarce.

ŁUKASZ

Pieśni! Toć nie za wiele w nich nauki.

MAWKA

O, nie lekceważ kwiatu swojej duszy –
z niego wyrosło nasze miłowanie!
A kwiat to bardziej niż paproć zaklęty –
bo skarby tworzy, nie odkrywa jeno.
Jak gdyby drugie serce mi przybyło,
kiedy ujrzałam go. W godzinie onej
zajaśniał dziw ognisty...

Nagle urywa.

Ty się śmiejesz?

ŁUKASZ

Co począć, kiedy na śmiech się zebrało...
Ubrała się na pole, a wygłasza
orację niby od wielkiego święta!

Śmieje się.

MAWKA

targa na sobie ubranie

Spalę to wszystko!

ŁUKASZ

Ino graj w to mamie!

MAWKA

A co mi to, jeżeli w tym odzieniu
zmieniłam się dla ciebie!

ŁUKASZ

Masz ci los!

Teraz to już wymówki się rozpoczną...

MAWKA

Nie, miły, ja wymawiać ci nie będę,
jeno mi żal, że ci się nie udaje

samemu sobie dorównywać życiem.

ŁUKASZ

Jakoś ja nie rozumiem twojej mowy.

MAWKA

Ja, wystaw sobie, kocham cię najbardziej
za to, czego sam w sobie nie rozumiesz,
choć właśnie o tym śpiewa twoja dusza
głosem fujarki wyraźnie i szczerze...

ŁUKASZ

Cóż to takiego?

MAWKA

Coś piękniejsze jeszcze
od twej urody, miły mój chłopaku,
lecz ja wysłować tego nie potrafię...

*Chwilę trwa bez słowa, wpatrzona weń miłością i ze
smutkiem.*

Daj parę nutek posłyszeć, kochany,
niechże fujarka biedy zazaruje!

ŁUKASZ

Ech, nie mam ci ja dziś na granie czasu!

MAWKA

Przytul mnie bodaj, żebym zapomniała
o tej rozmowie.

ŁUKASZ

Ćśś! Matusz posłysz! I tak cię bez ustanku przezywają
napaścią...

MAWKA

wybuchnęła

Tak! Kto nie rósł między wami,
ten was nie pojmie! Cóż to niby znaczy,
że „napastuję”? To, że kocham ciebie?
Że pierwsza rzekłam? A bo to wstyd jaki,
że serce mam nieskape, które skarbów
swych nie ukrywa, lecz ukochanego
obdarowało nimi jak najhojniej,
nie czekające, aż zastaw otrzyma?

ŁUKASZ

Ale z nadzieją, że mu się odwdzięczę.

MAWKA

I znowu dziwne, niepojęte słowo –
„odwdzięczę się”... Przecie mi dałeś dary,
jakie zechciałeś, i moje też były –
bez miarki i rachuby...

ŁUKASZ

To i dobrze,
że nikt nikomu nie pozostał dłużny.
Sama tak przecie mówiłaś – pamiętaj.

MAWKA

Czemuż to właśnie mam pamiętać o tym?

MATKA

wychodzi z za chaty

To ty tak zniesz? A ty tak płótek stawiasz?

Ł u k a s z pośpiesznie powłókł drzewo za chatę.

Jak nie masz chęci żyta żąć, dziewczyno,
to nie przymuszam. Ja już jakoś sama
dam radę, a jesienią zobaczymy,
Bóg da, synową znajdę do pomocy.
Już się tam jedna wdówka dosyć żwawa
dopytywała o nas przez sąsiadów,
tom jej odrzekła, że skoro mój Łukasz
nie będzie przeciw... No, daj już, kochana,
ten sierp, bo w domu innego nie mamy.

MAWKA

Ja będę żąć. Wy idźcie do konopi.

*Matka idzie przez polanę ku jezioru i kryje się za si-
towielem. Mawka robi zamach sierpem i schyla się nad
żytem, z którego nagle wylania się Rusałka Polna;*

jej zielony strój prześwieca miejscami przez płaszcz złotych włosów, okrywający całą jej drobną postać; na głowie ma modry wianek z bławatków, we włosy wplątały się różowate kwiaty kąkolu, rumianek, brzoźka.

RUSAŁKA POLNA

z błaganiem rzuca się ku, Mawce

Nie rusz mnie, siostrzyczko!
Oszczędź wdzięczne me liczko!

MAWKA

Muszę.

RUSAŁKA POLNA

Potargano moje szatki,
Zabrano mi wszystkie kwiatki,
wszystkie kwiatki – jasne słońka
powyrywano z zagonka!

Jarzył się czerwony mak,
teraz czarny po nim znak,
jaksby własną krwią się zboczył
i bezsilnie w brudę stoczył...

MAWKA

Siostrzyczko, muszę! Twoja uroda
o wiosnie wskrześnie bujna i młoda,
a kiedy moje szczęście zmarnieje,
już nie zadnieje!

RUSAŁKA POLNA

żałamuje ręce i chwieje się z rozpaczny jak ktoś na wietrze

O, warkoczu mój złocisty,
co go sroga ręka potnie,
stroju mój weselny, czysty,
co go zniszczą bezpowrotnie!...

MAWKA

Długiego życia nie dano twej krasie,
na to wyrosła, by lec w swoim czasie.
Nic nie poradzę i darmo mnie proś,
nie ja, to inny przybędzie tu ktoś.

RUSAŁKA POLNA

Popatrz, siostrzyczko, jak mieni się fala
z krańca po kraniec,
pozwól nam pisać radosny ów taniec,
dopóki lato pozwala,
dopóki ciężki nie wylegnie ktoś,
niechaj na razie ominie nas los!
Chwilkę! Chwileczkę! Jedno mgnienie, droga!
Zanim się ugnie ma piękność uboga,
skarbów swych nie utrzyma...
Siestro! Nie bądź jak zima
nieubłagana w swoim pochodzie!

MAWKA

Dałabym żyć wszystkiemu na swobodzie,

lecz dla mnie już skończyła się swoboda.

RUSAŁKA POLNA

szeptem pochylając się nad ramieniem M a w k i

Zali nie trafia się w polu przygoda,
że ostrze sierpa zrani kogoś w rękę?

Siostrzyczko! Spójrz na mą udrekę!
Uroń krwi kroplę, a moja uroda
przetrwa – czyż trud to dla ciebie za duży?

MAWKA

*zacina się w rękę, krew obryzguje złote warkoczki R u s a ł
k i P o l n e j*

Masz, siostrzo, niech ci służy!

*R u s a ł k a P o l n a w podzięcie skłania się nisko przed
M a w k a i znika w życie.*

Od strony jeziora zbliża się M a t k a, a za nią hoża młódka w czerwonej chustce ze szlaczkiem, w spódnicy bordo, równo i drobno plisowanej, tak samo plisowany ma zielony fartuch z naszytymi na nim białymi, czerwonymi i żółtymi wstążkami, koszulę przetkaną gęsto czerwonym i niebieskim haftem, dzwoniący dukatami naszyjnik na białej, pulchnej szyi, przez co jej okrągła, zażywna postać wydają się jeszcze pulchniejsza. Młódka idzie takim zważnym krokiem ze starka ledwie za nią nadąża.

MATKA

uprzejmie do młódki

Chodźcie, Kyłynko – tutaj koło brzozy
znajdziecie ziółka świeże. Tutaj krwawnik.
Zamiarowaliście dzbanki wyparzyć?
A on do mleka w sam raz się nadaje.

KYŁYNA

Toż ani nie wiem, gdzie podziać to mleko!
Prędzej by jarmark – to nakupię naczyn.
Krowę z Turzyska mam, dobrego chowu,
nieboszczyk jeszcze sprawił, a doi się,
że Boże mój! To już się opędziłam
jakoś na polu, a teraz by w domu
warto posprzątać. Och, cioteczko, wdowa
ciągle się musi rozrywać na dwoje!...

ściąga usta ze smutkiem

MATKA

Toście, rybeńko, zakończyli żniwo?
Cóż, powiedziano, że jak ktoś robotny,
to się upora... A nasz zagon mały
i to Bóg nie poszczęścił...

KYŁYNA

spogląda na zagon, gdzie stoi M a w k a
A kto tam
u was żniwuje?

MATKA
To jedna sierotka...

szeptem

Takie to, Boże odpuść, niezdarzone...

KYŁYNA
podchodzi z matką do M a w k i

Witaj, dziewczuszko! Jak tam idzie zniwo?

MATKA
klasnęła w dłonie

O biedaż mnie! Jeszcze ani zaczęła!
Niedolo moja! Cóżes ty robiła?
Niezguło! Obiboku ty! Próżniaczko!

MAWKA
stłumionym głosem

W dłoń się zacięłam...

MATKA

A bo było przy czym!

KYŁYNA

Daj no tu sierp – to może ja spróbuję.

*M a w k a chowa sierp za plecami i spogląda wrogo na
K y ł y n ę.*

MATKA

Dawaj sierp, jak ci mówią! Nie twój przecie!

*Wydzięra sierp z rąk M a w c e i daje go K y ł y n i e,
która rzuca się na żyto i tnie, jakby ogniem paliła, aż
słoma chrzęści pod sierpem.*

MATKA

ucieszona

To mi robota!

KYŁYNA

nie odrywając się od zajęcia

Jeśliby mi ktoś
kręcił powróśla, tobym zżęła w mig
cały zagonek.

MATKA

wola

Ano chodź, Łukaszu!

ŁUKASZ

nadchodzi; do K y ł y n y

Boże dopomóż!

KYLYNA

Dzięki.

MATKA

Ot, Łukaszu,
pomożesz tu sąsiadce wiązać snopy,
bo z tamtej „pomocnicy” już kaleka.

Ł u k a s z bierze się do wiązania snopów.

Żniwujcie, dziatki, a ja pójdę sobie,
kisielu wam na obiad ugotuję.

Wchodzi do domu.

*Ma w k a odeszła w stronę brzozy, przytuliła się do niej
i. poprzez zwisające gałęzie przypatruje się żencom.
K y ł y n a czas jakiś w dalszym ciągu żnie gorliwie, po
czym wyprostowuje się, spogląda na pochylonego nad sno-
pami Ł u k a s z a, uśmiecha się, trzema sążnistymi kro-
kami przybiega doń i głośno klepie go po plecach.*

KYLYNA

No, zwawiej, chłopcze. Nie wlecz się jak ślimak!
A to ci flegma!

Śmieje się potoczyście.

ŁUKASZ

też się prostuje

A z ciebie gorączka!
I nie zaczynaj lepiej, bo dam radę!

KYŁYNA

rzucą sierp, bierze się pod boki

No no! Kto kogo – jeszcze zobaczymy!

Ł u k a s z rzuca się ku niej, ta chywta go za ręce, „mierzą się siłami” oparci dłonią w dłoń; czas jakiś siły ich są równe, po czym K y ł y n a cofnęła się nieco, śmiejąc się gardłowo i strzelając oczyma. Ł u k a s z, roznamiętniony, szeroko rozchyła jej ręce i chce ją pocałować, ale gdy usta jego stykają się z jej ustami, ta podstawia mu nogę i Ł u k a s z się przewraca.

KYŁYNA

Stoi nad nim ze śmiechem.

I co? Kto komu radę dał nareszcie?

ŁUKASZ

wstaje, ciężko dysząc

Podstawić to nie sztuka!

KYŁYNA

Czyżby tak?

Drzwi chaty skrzypnęły. K y ł y n a znów ochoczo zabrała się do żniwa, a Ł u k a s z do wiązania. Wkrótce ścier-

nisko pociemniało i pokryło się snopami; kilka garstek żyta na rozłożonych powrósłach leży jak pokonani i jeszcze nie skrępowani jeńcy.

MATKA

od progu sieni

Chodźcie no, żeńcy, na obiad zapraszam.

KYŁYNA

Ja już gotowa jestem, ino Łukasz
coś nie wprawiony.

ŁUKASZ

Ja za małą chwilę.

MATKA

Kończ już, a wy tu przychodźcie, Kyłynko!

*K y ł y n a wchodzi do chaty.- Drzwi zamknęły się za nią.
Spod brzozy wychodzi M a w k a.*

ŁUKASZ

widząc ją speszył się trochę, ale odzyskuje pewność siebie

Ach, to ty? Dokończ jeszcze wiązać snopy,
a ja już pójdę.

MAWKA
Wiązać nie poradzę.

ŁUKASZ

To po co przysłaś tutaj się przyglądać,
skoro nie możesz pomóc nic?

Wiąże sam.

MAWKA

Łukasz,
niech ta kobieta więcej nie przychodzi
tutaj. Nie lubię jej – podstępna taka
jak wydra.

ŁUKASZ

Przecie nie znasz jej ni trochę.

MAWKA

Ależ znam! Głos i śmiech jej usłyszałam.

ŁUKASZ

To jeszcze mało.

MAWKA

Nie – tego już dosyć.
Drapieżna jak rysica.

ŁUKASZ

I co jeszcze?

MAWKA

Niech nie przychodzi do naszego lasu.

ŁUKASZ

zesztywniał

A kim ty w lesie jesteś tu – królową,
że tak zarządzasz, kto doń chodzić może,
a kto nie?

MAWKA

posepnie, z pogróżką w głosie

W lesie są takie wykroty
gałęzmi przysłonięte i chruśniakiem,
że nie zobaczy ich zwierz ani człowiek,
zanim nie wpadnie...

ŁUKASZ

I jeszcze powiadasz
o drapieżności, fałszu – szydło z worka!
Widać nie znałem dotąd twojej natury.

MAWKA

A może nawet ja sama nie znałam...

ŁUKASZ

Posłuchaj zatem: skoro tu mam ciebie
pytać, kto do mnie przychodzić ma prawo,
a kto nie, to już ja sam z lasu raczej
z powrotem się do wioski wyprowadzę.
Jakoś tam między ludźmi nie zaginę,
bo nie zamierzam siedzieć tu u ciebie
niby lis w paści.

MAWKA

Ja paści na ciebie
nie zastawiałam. Sam przyszedłeś tutaj.

ŁUKASZ

I sam też pójdę, jeśli ino zechcę
i nikt mnie niczym tutaj nie przywiąże!

MAWKA

A czyż ja kiedy chciałam ciebie wiązać?

ŁUKASZ

Jak tak, to po co cała ta rozmowa?

*Związał ostatni snop i nie patrząc na M a w k ę poszedł
do domu.*

*M a w k a usiadła na miedzy nad ścierniskiem i pochylała
się w smętnej zadumie.*

WUJEK LEW
wychodzi z chaty

Cóż cię takiego gnębi, siostrzenico?

MAWKA
cicho, ze smutkiem

Przemija lato, wujku...

LEW

To dlatego
tak się turbujesz? A ja bym uważał,
że ci już wierzby na zimę nie potrza.

MAWKA

Gdzież mam się podziać?

LEW

Jeśli o mnie chodzi,
to z tobą w chacie ciasno by nie było...
Ino że siostra taką ma naturę,
że z nią się nie dogadasz. Próbowałem
i tak, i owak... Gdybym to ja sam
tu gospodarzył, tobym się nie pytał,
alem już oddał im ten grunt i chatę,
to nie mam głosu tutaj. Sam odchodzę
na zimę do wsi, do swojej zagrody.

Gdybyś do wsi iść mogła na mieszkanie,
tobym cię przyjął.

MAWKA

Nie, na wieś nie mogę...
Tak tobym poszła. Wyście dobrzy, wujku.

LEW

Dziewuszeko, dobry bywa chleb, nie człowiek.
Prawdę mówiący, tom polubił szczerze
naród wasz leśny. Gdy umierać będę,
wtedy do boru niczym zwierzę powrócę,
tutaj pod dębem niechaj mnie pogrzebią...
Ej, mój dąbeczku, czy trwać będziesz jeszcze,
gdy moja siwa głowa się zachwieje?...
Gdzieżby! Nie takie jeszcze były dęby,
i też wycięto. Ty zielen się jeszcze
bodaj do mrozów, druhu kędzierzawy,
a zasię... czy da Bóg doczekać wiosny?...

*Stoi, smętnie schyliwszy się nad kosturem. M a w k a p o-
mału wybiera przywiędłe kwiaty ze zżętego żyta i układa
z nich bukietik. Z chaty wychodzą m a t k a, K y ł y n a
i Ł u k a s z.*

MATKA

do K y ł y n y

Czemu śpieszycie się? Posiedźcie jeszcze!

KYLYNA

Nie, ja już pójdę sobie stąd, cioteczko.
Ma się pod wieczór, to już strach wędrować.

MATKA

Łukasz, odprowadź gościa.

ŁUKASZ

Mogę, z chęcią.

KYLYNA

spogląda nań

Może zajęty...

MATKA

Co tam za robota,
gdy słońce zajdzie? Idźże, idź, syneczku,
Kyłynkę do gościńca odprowadzisz.
W takim odludziu wieczorem nieswojo.
To taka młódka do rzeczy, przystojna,
jeszcze by napadł kto!

KYLYNA

Ojej, cioteczko,
tera żeście mi napędzili strachu.

Łukasz, chodźmy, dopóki nie zmierzcha,
bo i we dwójkę strach!...

ŁUKASZ

Ii tam, ja miałbym
lasu się bać! Co znowu! Pomaleńku!

MATKA

Mój chłopak to zuch i już co do tego,
moja Kyłynko, czci mu nie ujmujecie!

KYŁYNA

Nie, ja tak żartem...

spostrzega L w a

Wujku Lwie, hop, hop!
Toście są w domu?

LEW -

udaje, że nie dosłyszał

He? Bywajcie zdrowi!

Idzie sobie do lasu.

KYŁYNA

No to żegnajcie, bądźcie zdrowi, ciociu!

Chce pocałować starą w rękę, ta jej nie daje, ociera sobie usta zapaską i trzykrotnie „ceremonialnie” całuje się z K y ł y n ą.

KYŁYNA
na odchodnym

W zdrowiu ostańcie, o nas pamiętajcie!

MATKA

Weseli bądźcie i do nas zabłądźcie!

Wchodzi do chaty i zamyka drzwi za sobą.

M a w k a wstaje i powolnym, jak gdyby znużonym krokiem idzie w stronę jeziora, siada na pochylej wierzbie, kryje twarz w dłoniach i cicho płacze. Zaczyna padać drobny deszczyk, gęstą tkanką osnuwa polanę, chatę i las.

RUSAŁKA

przy pływa do brzegu i przygląda się M a w c e ze zdziwieniem i ciekawością

Ty płaczesz, Mawko?

MAWKA

A tyś sama nigdy
łez nie ronila, Rusaleczko?

RUSAŁKA

Może...

jak ja przez chwilkę króciutką zapłacę,
to ktoś się wówczas śmieje aż do śmierci!

MAWKA

Rusałko! Widać nigdy nie kochałaś...

RUSAŁKA

Ja nie kochałam? To ty nie pamiętasz,
jakie naprawdę winno być kochanie!
Miłość – jak woda wszechogarniająca
rwie, igra, pieści, wciąga i zatapia.
Gdzie pożar – kipi, a gdy ziab napotka –
jak gład zastyga. Oto moja miłość!
A w twojej duch słomiany tli jak gdyby
w wątlwym dzieciątku. Od wiatru się słania,
ściele pod nogi. Gdy na iskrę trafi,
spłonie bez walki i zostanie po niej
szczerniała sadza i szarość popiołu.
A gdy nią jak podrzutkiem pomiatają,
to leży niczym słoma i buntwieje
w zimnej kąpieli daremneho żalu,
skruchy, co niby późny deszcz przychodzi.

MAWKA

unosí głowę

Powiadasz – skruchy? A zapytaj brzozy,
zali żaluje w skrusze owych nocy,
gdy wiatr wiosenny jej długie warkocze
rozplatał?

RUSAŁKA

To dlaczego się tak smuci?

MAWKA

Że nie sążone jej ukochanego.
na wieki związać długimi witkami.

RUSAŁKA

Czemuż?

MAWKA

Bo miły ów to wiatr wiosenny.

RUSAŁKA

Dlaczego więc takiego pokochała?

MAWKA

Bo taki lekki był ów wiatr wiosenny,
śpiewając – listki z pączków jej rozwijał,
miłując – wianek jej rozwiewał bujny
i pieszcząc rosą skrapiał jej warkocze,
innego by pokochać nie zdołała.

RUSAŁKA

To teraz niechaj żalobę obłóczy

do samej ziemi, bo wiatru ogarnąć
nie zdoła nigdy więcej – już uleciał.

Cicho, bez pluśnięcia, odpływa od brzegu i znika w jeziorze. Ma w k a znów się skuliła, jej długie czarne warkoczki opadły aż do ziemi. —

Zrywa się wiatr i pędzi szare chmury, a z nimi wraz czarne klucze ptaków odlatujących na wyraj. Pod wpływem gwałtowniejszego podmuchu wiatru rozpraszają się deszczowe chmury i widać las – już w jaskrawym stroju jesiennym na ciemnogrnatowym tle przedwieczornego nieba.

MAWKA

Tak... już uleciał...

Z gęstwiny wychodzi D z i a d L e ś n y w długiej opończy koloru starego złota obramowanej u dołu ciemnoczerwoną materią, czapę ma oplecioną gałązką dojrzałego chmielu.

DZIAD LEŚNY

Córuś, córuś moja,
jak ciężko pokutujesz za tę zdradę!...

MAWKA

unoszą głowę

Zalim zdradziła kogo?

DZIAD LEŚNY

Siebie samą,

boś porzuciła strzeliste wierzchołki,
i zeszaś w dół wąskimi ścieżynami.
Do kogoś ty podobna? Do najmitki,
do wyrobnicy, co bolesnym trudem
na kromkę szczęścia chciała zapracować
i nie zdołała, zaś ostatek wstydu
żebraczką zostać jeszcze nie pozwala.
Pamiętasz, jaka byłaś owej nocy,
kiedy rozkwitło miłowanie twoje:
niczym królewna lasu byłaś wtedy
w gwiazdzistym wianku na czarnych warkoczach.
Wtedy stęsknione wyciągało dłonie
do ciebie szczęście, dary ci przynosząc!

MAWKA

Cóż pozostało mi, gdy wszystkie gwiazdy
pogasły w moim wianku i w mym sercu?

DZIAD LEŚNY

Jeszcze nie wszystkie wianki tve powiędły.
Popatrz – nie widzisz, jakie tutaj święto?
Kniaź-jesion szubą złotą się ogarnął,
a dziłka róża wdziała bicz korali.
Niewinna biel zmieniła się w purpurę
na tej kalinie, z której rwałaś kwiaty,
gdzie słowik wyśpiewywał pieśń weselną,
i stara wierzba, nawet brzoza smętna
na powitanie jesieni się stroją
w złotogłów i karmazyn. Ty jedynie

swoich żebraczych łachów nie chcesz zrzucić,
niebaczna na to, że piękno zgryzocie
miejsca przed sobą dawać nie powinno.

MAWKA

wstaje gwałtownie

To daj mi, dziadku, te odświętne szaty!
Niech znów królowną leśną się okażę
i szczęście kornie padnie mi do stóp
błagając mnie o łaskę!

DZIAD LEŚNY

Córko, dawno
przygotowano dla królowny stroje,
lecz ona, by zachciankom swym dogodzić,
dla żartu za żebraczkę się przebrała.

Rozchyła swą opończę i wydobywa do tej chwili ukrywaną pod nią wspaniałe bramowaną złotem purpurę królewską i srebrzysty welon; narzuca je na łachmany Mawki; Mawka podchodzi do kaliny, śpiesznie utamuje z niej czerwone kiście, plecie wianek, rozpuszcza warkocze, uwieńcza włosy i skłania się przed Dziadem Leśnym, który narzuca jej srebrzysty welon na głowę.

DZIAD LEŚNY

Teraz nie muszę lękać się o ciebie.

Skinął jej głowę majestatycznie, żwawym krokiem wchodzi w gęstwinę i znika.

Z lasu wybiega P o k u ś n i k.

MAWKA

Ty znowu?

Już gotowa uciec.

POKUŚNIK

lekceważąco

Bać się nie masz czego. Chciałem spotkać Rusałkę, tę, co mieszka w życie, ale zasnęła już, jak widzę. Szkoda... Ty za to zmizerniałaś.

MAWKA

dumnie

Zdaje ci się!

POKUŚNIK

Mówisz, że zdaje mi się? Daj popatrzeć.

Podchodzi do niej, Mawka się cofa.

Czemuś taka płochliwa? Wiem, że jesteś dawno po słowie – ani dotknę ciebie.

MAWKA

Precz! Nie drwij ze mnie.

POKUŚNIK

Daruj mi, jeżeli
mógłbyś ci niechcący... Słuchaj, Mawko,
to pobratymstwo zawrzyjmy.

MAWKA

Ja z tobą?

POKUŚNIK

Czemuż by nie? Toć przecie mamy jesień,
wiesz, że nawet słońce mniej przygrzewa
i w nas ostygła krew. Wszak my oboje
byliśmy kiedyś przyjaciółmi, później
bawiliśmy się czy kochali – nie wiem,
teraz braterstwa pora. Daj mi rękę.

M a w k a z pewnym wahaniem podaje mu rękę.

Pozwól mi złożyć pocałunek bratni
na bladym twoim liczku.

M a w k a odsuwa się, on jednak ją całuje.

Co za kwiaty
od razu na twych policzkach rozkwitły –
jesienne, powściągliwe, bez zapachu...

Trzymając ją wciąż za rękę, oziera się po polanie.

Spójrz, jak tam ulatuje babie lato,
jak krąży i unosi się na wietrze...
Tak ty i ja...

Nagle porywa ją w taniec.

Nad żółty łan
weźmy się, wzniesmy się
w powietrzny tan!
Do gwiazd przeczystych,
iskier złocistych,
jasnych i kraśnych płomieni strzelistych,
tego, co świeci,
tego, co leci,
tego, co życie i wieczny ruch nieci!
Ja mogę mknąć,
płonać i mknąć,
kochana moja, ty iskrą mi bądź!

*Coraz szybciej wirują w tańcu. Srebrzysty welon Ma-
wki wzbił się w górę niczym błyszcząca żmijka, rozplecione
czarne warkocze splątały się z ognistymi kędziorami P-
o-
k u s n i k a.*

MAWKA

Dość już... Nie szalej...

POKUŚNIK

Zapamiętaj
miła, bez przerwy w uścisku mym krąż!
Szczęście to zdrada,

więc bądź mu rada,
tym pożądańsze, że zmienia się wciąż!

Taniec staje się obłądny.

Rwijmy się,
wzbijmy się,
wichrem spowijmy się!
W wieczną
słoneczną
biegnijmy krainę!

MAWKA

Dość... Błagam, puść mnie... Omdlewam już... ginę.

*Głowa jej osuwa mu się na ramię, ręce opadają, wlecze
ją w taniec zemdloną.*

*Nagle spod ziemi wylania się mroczna, zwalista, straszna
Z j a w a.*

ZJAWA

Oddaj, co moje. Puść ją.

POKUŚNIK

*Zatrzymał się, wypuszcza z rąk M a w k ę, która bezwład-
nie osuwa się na trawę.*

Ktoś ty taki?

ZJAWA

Zali mnie nie znasz? –
„Ten, co w skale mieszka”.

*P o k u ś n i k zadygotał, jednym susem rzucił się do tyłu
i znikł w lesie. M a w k a ocknęła się, uniosła się nieco,
otwarła oczy szeroko i z przerażeniem spogląda na Z j a
w ę, która wyciąga ku niej ręce.*

MAWKA

Nie chcę,
Nie chcę do ciebie iść! Ja jeszcze żyję!

„TEN, CO W SKALE MIESZKA”

Ja zaprowadzę cię w daleki kraj,
nieznany kraj, gdzie ciche, ciemne wody
spokojnie śnią jak oczy za mgłą śmierci,
nad nimi piętrzą się milczące skały
jak nieme świadki spraw, co przemijały.
Spokojnie tam: z drzew żadne ani ziół
nie zaszeleści, rojeń nie przywieje,
zwodniczych rojeń, by sen zamącały,
i żaden wiatr tam nie przyniesie pieśni
o niedościgłej swobodzie; nie płonie
ogień trawiący; ostre błyskawice
o skały łamią się i nie zdołają
wedrzyć się w zamek ciemności i ciszy.
Zabiorę ciebie, bo tam przynależysz:
bledniesz przy ogniu, od ruchu omdlewasz,
szczęście dla ciebie cieniem, tyś nieżywa.

MAWKA

wstaje

Nie, żywa jestem! I żyć będę wiecznie!
Bo w sercu noszę coś, co nie umiera.

ZJAWA

Skąd niby o tym wiesz?

MAWKA

Stąd, że udrękę
swoją miłuję i darzę ją życiem.
Gdybym na chwilę bodaj zapragnęła
zapomnieć o niej, odeszłabym z tobą,
ale mnie żadna na tym świecie siła
nie skusi, bym pragnęła zapomnienia.

W iesie zachrzęścily ludzkie kroki.

Nadchodzi, ten, (który mi zadał mękę!
Giń, Maro! Zbliży się moja nadzieja!

*„Ten, co w skale mieszka” cofa się w ciemny
gąszcz i tam się przyczaja. Z lasu wychodzi Łukasz.
Mawka idzie mu naprzeciw. Twarz jej odcina się
śmiertelną bladością od jaskrawego ubioru, gasnąca na-
dzieja rozszerzyła jej wielkie ciemne oczy, ruchy ma rap-
towne i zamierające w bezsilie, jak gdyby coś się w niej
załamywało.*

ŁUKASZ

ujrzawszy ją

Jakaś ty straszna! Czego chcesz ode mnie?
*Śpieszy do chaty, kołace do drzwi, matka otwiera mu
nie wychodząc. Ł u k a s z do matki na progu.*

Szykujcie, mamó, dla starostów bochen,
jutro wyprawiam swatów do Kyłyny!

Wchodzi do chaty. Drzwi się zamykają.

*„T e n, c o w s k a l e m i e s z k a” wychodzi i zbliża się
do M a w k i.*

MAWKA
zdziera z siebie purpurę

Zabierz mnie! Pragnę jeno zapomnienia!

*„T e n, c o w s k a l e m i e s z k a” dotyka M a w k i, któ-
ra krzyknęła i opadła mu na ręce, on zaś narzuca na nią
swą czarną opończę. Oboje zapadają się pod ziemię.*

AKT III

Pochmurna, wietrzna noc jesienna. Ostatnie żółte przebłyki poświaty miesięcznej gasną w gmatwaninie nagich konarów. Zawodzą puchacze, śmieją się sowy, zawzięcie kuwikają puszczyki. Nagle wszystko zagłusza przeciągłe wycie wilka, które rozlega się coraz głośniej, głośniej i raptem się urywa. Nastaje cisza.

Budzi się chorowity świt późnej jesieni. Bezlistny las ledwie majaczy na popielatym tle nieba czarnym grzebieniem, a z dołu po jego obrzeżach snuje się strzępiasta ośma. Zaczynają bieleć ściany Łukaszowej chaty, przy jednej z nich czernieje jakaś postać, skulona bezsilnie przy futrynie drzwi, z trudem można rozpoznać w niej Mawkę; jest w czarnym ubiorze, szarym nieprzejrzystym welonie, jedynie na jej piersi czerwieni się mały bukiecik kaliny.

Gdy już się rozwidni, na polanie rzuci się w oczy ogromny pień tam, gdzie stał niegdyś stuletni dąb, a nie opodal jego widać niedawno usypany, jeszcze nie porośnięty trawą kopczyk mogilny.

Z lasu wychodzi Dziad Leśny w szarej siermiędze i czapie z wilczego futra.

DZIAD LEŚNY

przyglądając się postaci skulonej pod chatą

To ty, córeńko?

MAWKA

zbliża się nieco ku niemu

To ja.

DZIAD LEŚNY

Czyż wypuścił
cię z mocy swojej „Ten, co w skale mieszka”?

MAWKA

Tys mnie występkiem swoim oswobodził.

DZIAD LEŚNY

Zali występkiem nazwiesz pomstę moją,
tę, którą wymierzyłem sprawiedliwie
wiarołomnemu twemu kochankowi?
Zali niesłuszne to, że sam doświadczył
rozpaczy samotnika nieczłowieczej
błądząc po lesie w wilczym podobieństwie?
Ma swoje! Teraz zeń wilkołak dziki!
Niechaj skowyczy, lamentuje, wyje,
niechaj krwi ludzkiej żąda – nie ugasi
udręki srogiej!

MAWKA

Próżna twa uciecha,

bo ocaliłam go. Znalazłam w sercu
zaklęcie czarodziejskie, co przywraca
opętanemu jego człowieczeństwo.

DZIAD LEŚNY

tupnął ze złości i z trzaskiem łamie swój kostur

Jużeś niegodna zwać się córką lasu!
bo nie ma w tobie nic leśnego ducha,
jeno służebny, wsiowy!

MAWKA

Gdybyś wiedział,
gdybyś mógł wiedzieć, jak mi było strasznie...
Spałam kamiennym snem na dnie jaskini
głębokiej, czarnej, zimnej i wilgotnej,
kiedy skroś zapór kamiennych się przedarł
głos odmieniony i przeciągłe wycie
dzikim i smętnym echem się rozległo
na ciemnych martwych wodach i zbudziło
pośród skał miesiąc dawno zatracony...
Aż się odknęłam! Płomieniem podziemnym
żał mój przepalił sklepienie jaskini,
i znów wyrwałam się na świat. A słowo
ożyło na mych ustach odrętwiałych
i uczyniłam cud... Pojęłam, że
nie dano mi osiągnąć zapomnienia.

DZIAD LEŚNY

Gdzież teraz jest? Czemu nie razem z tobą?

Zali niewdzięczność jego nie umiera
równie jak miłość twoja?

MAWKA

Och, mój dziadku!
Gdybys to widział!... W ludzkiej już postaci
padł mi do nóg niczym podcięty jesion...
I z dołu ku mnie w górę uniósł wzrok
taki zbolący, tęsknotą przejęty
oraz żarliwą skruczą, bez nadziei...
Jedynie człowiek patrzeć tak potrafi!...
Anim zdążyła słowo rzec, jak on
skoczył na równe nogi i przede mną
drżącymi zasłaniając się rękoma,
bez słowa w jar tarniną zarośnięty
pobiegł na oslep i tam z oczu znikł.

DZIAD LEŚNY

No i co teraz robić zamierujesz?

MAWKA

Nie wiem... Ja teraz błędzę niby cień
wokół tej chaty i sił mi nie staje,
by ją porzucić... Czuje serce moje,
że on tu wróci...

*Dziad Leśny w milczeniu kiwa głową frasobliwie.
Mawka znów kuli się pod ścianą.*

DZIAD LEŚNY

Dziedzino nieboga,
czemu odeszłaś od nas w mroczne strony?
Czyż pośród bliskich nie ma odpocznienia?
Spójrz, tutaj wierzba twoja na cię czeka,
i już posłanie dawno zgotowała,
smutno jej, że nie wie, gdzie się tułasz.
Idź już odpocząć.

MAWKA

Nie potrafię, dziadku.

Dziad Leśny, westchnąwszy głośno, z wolna wyrusza do lasu. Z lasu dobiega zajądło dudnienie kopyt, jakby ktoś co się popędzał konia, po czym się urywa.

KUSY

Wybiega z za domu, zacierając ręce i staje na widok Mawki.

Tyżeś to, Mawko?

MAWKA

Co cię tu przywiodło?

KUSY

Konia za grzywę do stajni przywlokłem.
Ponosił mnie niezgorzej na ostatek,

nikogo więcej nosić już nie będzie!

MAWKA

O ty bezecny! Las okryłeś hańbą!
Tak z wujkiem Lwem umowy dotrzymałeś?

KUSY

Umowa nasza z nim razem umarła.

MAWKA

Co? Umarł wujcio Lew?

KUSY

Otóż mogiłka.

Pod dębem pogrzebali, a przy pniaku
na wieki spocząć staremu sądzono.

MAWKA

Obaj polegli... Miał jednak przeczucie,
że na następny rok nie przetrzyma...

Podchodzi do kopczyka.

O, jakże serce opłakuje ciebie,
jedyne przyjacielu! Gdybym miała
łyż, co ożywią, zrosiłabym ziemię,
barwinek hodowała nieśmiertelny

na tej mogiłce. Ale dziś uboga
i żal mój pada niby zeschnięty liść...

KUSY

Żal nie przystoi mi, a jednak muszę
przyświadczyć, że starego szkoda nieco,
bo jakoś z nami umiał dojść do ładu.
Nawet czarnego capa utrzymywał
przy swoich koniach, bym miał na czym jeździć.
Ja na swym capie mknę jak błyskawica,
a konie żują swój obrok bezpiecznie.
Te baby zaś ni trochę nie umieją
z nami się żyć – na rzeź sprzedały capa,
ścięły dąb stary. Zerwały umowę.
Tom się wywdzięczył i najlepsze konie
na śmierć zajeździł; kupią – znów zajeżdżą.
Wiedźmę, co pępek diabłom wiązała,
też uprosiłem, ażeby im krowy
zepsuła co do jednej. Niechaj wiedzą!
Stóg na dobitkę Wodnik im zamoczył,
Niechrzczeniec pognoił w kopskach żyto.
Dotąd je gnębi przepaśnica za to,
że konopiami zbrukały jezioro.
Już w lesie teraz dobra nie użyją!
Ino im Złydni krążą wokół chaty.

ZŁYDNI

Małe zamorzone stworki, w łachmanach, z wyrazem wiecznego głodu na twarzy, wychynęły zza rogu chaty.

To my! Kto nas wspomina?

MAWKA

zastania im sobą drogę do drzwi

Umykajcie!

Nikt was nie wołał!

JEDEN ZŁYDZIEN

Słowo wyrzeczone

już się nie wróci.

ZŁYDNI

oblegają próg

Ino by co prędszej

drzwi nam otwarto – bo jesteśmy głodne!

MAWKA

Nie puszczę was tam!

ZŁYDNI

No to jeść nam dawaj.

MAWKA

ze strachem

Ja nie mam nic.

ZŁYDNI

To daj nam tę kalinę,
którą na sercu swoim nosisz! Daj!

MAWKA

To moja krew!

ZŁYDNI

Nie szkodzi! Krew lubimy.

Jeden Złydzień rzuca się jej na piersi i wysysa kalinę, inne szarpia go, żeby również skosztować, gryzą się między sobą i warczą jak psy.

KUSY

Ej, Złydni, dajcie spokój – to nie człowiek!

Złydni wstrzymały się, kłapią zębami i jazgocą z głodu.

ZŁYDNI
do Kusego

To daj nam jeść, bo ciebie także zjemy.

Rzucają się na Kusego, który odskakuje.

KUSY

No no, wolnego!

ZŁYDNI

Jeść! Jesteśmy głodne!

KUSY

Czekajcie chwilę, baby wnet obudzę,
jadło będziecie mieć, a ja zabawę.

Bierze pecynę ziemi, rzuca w okno i wybija szybkę.

GŁOS MATKI ŁUKASZA
w chacie

Oj! Co takiego? Znowu moc nieczysta!

KUSY
do Zł y d n i szeptem

Widzicie? Już ocknęła się, niebawem
przywoła was. A teraz siedźcie cicho,
bo stara zaklnie was tak, że się w ziemię
pozapadacie – ona to potrafi.

*Z ł y d n i skuliły się pod progiem ciemną gromadką.
Z chaty słyhać przez wybitą szybę krzątanicę wstającej
matki, później głos jej, a wreszcie K y ł y n y.*

GŁOS MATKI

Już rozwidniło się, a ta śpi dalej.
Kyłyno! Hej, Kyłyno! Ta ma spanie!
Bodaj na wiek zasnęła... Wstawaj! Wstawaj!
Bodajbyś już nie wstała!

GŁOS KYŁYNY

zaspany

Czego tam?

MATKA

zgrzyźliwie

Czas by już ci wydoić tamtą krówkę
z Turzyska, dojną, rasowego chowu,
co ją nieboszczyk jeszcze twój kupował.

KYŁYNA

już oprzytomniawszy

Wydoję tę, którą zastałam tutaj
i jak nastrzykam trzy kropelki mleka,
funt masła wyjdzie.

MATKA

Zawdy się odszczeka!
A któż jest winien, że nam brak nabiału?
Ino nieszcześnie z taką gospodynią!

To ci synowa! Skąd się taka wzięła
na nasze głowy?

KYŁYNA

A bo kto wam kazał
słać do mnie swatów? Mielście pod ręką
jakiegoś kocmołucha – trzeba było
przyjąć go, wyszorować jak należy,
synową mielibyście wedle gustu.

MATKA

A co powiadasz – nie? Toć miałabym!
A Łukasz kiep zamienił ją na ciebie,
bo to posłuszne takie było, dobre,
że choć do rany przyłoż... Kocmołuchem
przeżywasz ją, a sama mimo to
sukienkę jej zieloną przerobiłaś
i nosisz dotąd – i nie wstyd ci jakoś!

KYŁYNA

A bo to człowiek coś nowego włoży!...
Chłopa gdzieś cały czas zaraza nosi,
a ty się męcz ze świekrą uprzykrzoną,
ni wdowa, ni mężatka – groch przy drodze!

MATKA

Bo jaki chłop wytrzymać mógłby z tobą?

Worku bez dna! Co było, to zeżarłaś
ze swymi dzieciskami – ino siedzą,
bodaj was samych Złydni ogarnęły!

KYLYNA

Niechaj ogarną tego, co je wzywa!

*Z tymi słowy otwiera drzwi chaty. K u s y umyka w ba-
gnisko, Z ł y d n i zrywają się i wbiegają do sieni.
K y ł y n a z wiadrem w ręku żywawo pomyka do leśnego
strumienia, z łoskotem nabiera wody do wiadra i powra-
ca już nieco wolniejszym krokiem. Spostrzega M a w k ę,
która stoi pod ścianą bez siły, z twarzą osłoniętą szarym
welonem.*

KYLYNA

przystaje i stawia wiadro na ziemi

Kto to?... Posłuchaj, tyś może pijana
albo zamarzłaś?

Trzęsie Mawkę za ramię.

MAWKA

z wysiłkiem, jakby przemagając śmiertelne zmęczenie

Senność mną owłada...

To sen zimowy...

KYLYNA

odslania jej twarz i poznaje

Czemu tu przychodzisz?
Nie zapłacono ci jeszcze za pracę?

MAWKA
jak wyżej

Nikt mi i za nic zapłacić nie może.

KYLYNA

Kogo tu szukasz? Jego nie zastaniesz.
Wiem, że do niego przyszedłeś! Powiedz prawdę –
to twój kochanek?

MAWKA
jak wyżej

Był kiedyś ranek
jasny, radosny, w rumieńcach zórz...
i umarł już...

KYLYNA

Tyś oszalała!

MAWKA
jak wyżej

A ja patrzyła,
jak w niebie chmurka snuje się biała,
błąka się smętnie, gubi w zenicie...

Gdzież błyskawica w błękanie?

KYŁYNA
szarpie ją za rękę

Nie zwódź mnie! Odejdź! Dlaczego tu stoisz?

MAWKA
przytomniej, cofając się ode drzwi

Patrzę, jak wam się tu żyje szczęśliwie.

KYŁYNA

Bodajbyś stała tak w wiecznym podziwiew!

*M a w k a zmienia się nagle w wierzbę o zeschniętych liściach
i płaczącym witkach.*

KYŁYNA
ochłonawszy ze zdumienia, z pogroźką w głosie

A tom w godzinę dobrą wymówiła.
No no, postoisz mi teraz niedługo!...

CHŁOPIEC
wybiega z chaty; do Kyłyny

Mamo, gdzie jesteś? Bo nam jeść się chce,
a babka nic nie daje!

KYŁYNA

Odczep że się!

szeptem, nachylając się nad nim

Tam w piecu dla was pieróg mam schowany,
jakk babka pójdą do spizarki – zjedzcie.

CHŁOPIEC

To mama suchą wierzbę posadziła?
I na co to?

KYŁYNA

Wszystkiego jesteś ciekaw?

CHŁOPIEC

Gwizdawkę sobie wytnę z niej!

KYŁYNA

Wycinaj!

*Chłopiec wycina pręt z wierzby i wraca do chaty.
Z lasu wychodzi Łukasz, wychudły, z długimi włosami,
bez siermięgi i czapki.*

KYŁYNA

widząc go wydaje okrzyk radości, ale w tejże chwili radość jej tłumi uraza

Toć jesteś! Gdzie cię tyli czas nosiło
po świecie?

ŁUKASZ

Lepiej nie pytaj...

KYLYNA

Nie pytaj...

Włóczył, obijał się, diabli go wiedzą,
po jakich kątach, a teraz – „nie pytaj”!
Ani nie muszę cię pytać, kochasiu...
Jest gdzieś na świecie owa karczma, w której
zawieruszyły się czapka z siermięgą?

ŁUKASZ

Nie byłem w karczmie...

KYLYNA

Kto głupi, uwierzy!

Lamentuje.

Oj, pograżyłam głowę swą na wieki
z tym pijanicą!

ŁUKASZ

Cicho bądź! Nie skamlaj!

K y ł y n a milknie, patrząc nań z przestraczem.

Pozwól, że teraz ja ciebie zapytam –
gdzie dąb wujkowy, co pniak po nim sterczy?

KYŁYNA

stropiona zrazu, ale rychło się opamięta

A bośmy mieli tu handlować głodem?
Trafił się kupiec, to kupił i tyle.
Wielkie mi rzeczy – dąb!

ŁUKASZ

Wujek Lew przecie
przysięgł, że jego nie zetnie.

KYŁYNA

Na świecie
wujka Lwa nie ma, to cóż po przysiędze?
Ty ani ja żeśmy nie przysięgali,
ja bym i cały las chętnie sprzedała
albo wycięła – mielibyśmy grunt
jak ludzie, nie te diabelskie wydmuchy.
Toć tu wieczorem strach wyściubić nosa!
I co za korzyść dla nas z tego lasu?
Jak wilkołaki po nim się błakamy,
aż wreszcie wyc zaczniemy wilczym głosem!

ŁUKASZ

Cicho bądź! Zamilcz w tej chwili!

W głosie jego słychać nieprzytomny strach.

Powiadasz?

sprzedać las... wyciąć... a wtedy nie będzie
tak... jakieś to mówiła?

KYŁYNA

Co mówiłam niby?

Że jak wilk...

ŁUKASZ

zatyka jej usta

Nie mów!

KYŁYNA

uwolniwszy się od niego

Toż ty bój się Boga!

Pileś czyś zgłupiał, czy ktoś zauroczył?

Chodźże do domu.

ŁUKASZ

Zaraz... zaraz przyjdę...

ino... niech ino wody się napiję.

Kłeka i pije z wiadra. Po czym wstaje i patrzy przed siebie w zamyśleniu, nie ruszając się z miejsca.

KYŁYNA

O czym to myślisz?

ŁUKASZ

Ja? Tak... o czym? Nie wiem...

z wabaniem

Czasem nie było tu kogo?

KYŁYNA

szorstko

A któż by

miał tu przychodzić?

ŁUKASZ

patrząc w ziemię

Nie wiem...

KYŁYNA

ze złośliwym uśmiechem

Jak ty nie wiesz,
to może ja wiem coś!

ŁUKASZ
z *obawą*

Ty?
KYŁYNA

I nie dziwota!
Ja nawet wiem, kogo się tu spodziewasz,
ino że ba! – czekania twego szkoda!
A to, co było, w pień się obróciło...

ŁUKASZ
Co ty powiadasz?

KYŁYNA
To coś słyszał.

MATKA
Wybiega z chaty i rzuca się, by objąć Łukasza, który obojętnie przyjmuje to powitanie.

Synu!
Synku mój! Alem się nabiedowała
z tą wiedźmą!

ŁUKASZ
zadrżał
Z jaką?

MATKA
wskazując Kylynę
Przecie z tą, nie z inną.

ŁUKASZ
uśmiechając się drwiąco

I ona wiedźmą jest? Widać sądzone
było wam świekrą wiedźmowską pozostać.
A któż wam winien? Samiście jej chcieli.

MATKA

Gdybym wiedziała, że z niej będzie taki
kocmołuch i niedbaluch...

KYŁYNA

Ludzie złoci,
kto to powiada! Już sekutnic takich,
takich flejtuchów jak ty świat nie widział!
Udała ci się, Łukasz, mateńka!
Żelazo nawet przegryzie!

ŁUKASZ

Jak widzę,
to ty mocniejsza jesteś od żelaza.

KYŁYNA

Od ciebie człek doczeka się obrony!
Jaka mateczka, taki i synalek!
Po kiego licha brałeś mnie? By tutaj
mną pomiatano?

MATKA
do Łukasza

Czy ty jej nareszcie
nie każesz stulić gęby? A bo to ja
dla niej tu jakieś popychadło jestem?

ŁUKASZ

A dajcież wy mi święty spokój obie!
Chcecie, żebym nie z domu, lecz ze świata
precz sobie poszedł? Pójdę, jak Bóg miły!

KYLYNA
do matki

Co? Doczekałaś się?

MATKA

Żebyś od swego
syna tak samo!

Rozzłoszczona idzie do chaty, na progu spotyka się z synem Kylynym, który wybiega z fujarką w ręku.

*Zamknij no się, Złydniu!
Potrąca chłopca i wchodzi do chaty trzaskając drzwiami.*

CHŁOPIEC

Przyszliście już, tatusiu?

ŁUKASZ

Już, mój synku.

Słowo „synku” wymawia z ironią.

KYŁYNA

obrażona

No to mu powiedz, jak ma cię nazywać –
chyba nie wujkiem?

ŁUKASZ

nieco zawstydzony

A bom co powiedział?
Chodź, chodź tu do mnie, mały, nie bójże się.

Głaszczę c b l o p c a po jasnej główce.

To tyżeś sam fujarkę zrobił?

CHŁOPIEC

Sam,
ale nie umiem grać. Jakbyście mogli!

Podaje Ł u k a s z o w i fujarkę.

ŁUKASZ

Ej, chłopcze, moje granie już minęło!...

Zamyśla się ze smutkiem.

CHŁOPIEC
pochlipując

I! Nie chce wam się! Wytłumacz mi, mamó,
czemu to tatko nic mi nie zagrają?

KYLYNA

Co znowu! Jeszcze granie ci potrzebne!

ŁUKASZ

Daj no fujarkę.

Bierze fujarkę.
Nieźła. Uliniłeś
z wierzby?

CHŁOPIEC

A jakże, tej co tutaj rośnie.

ŁUKASZ

Jakoś jej dotąd nie zauważyłem.

do K y ł y n y

Tyś zasadziła?

KYŁYNA

A bo kto to sadził?
Pręt jakiś sterczał, to i wyrósł sobie.
Tu jak na wodzie rośnie – deszczu tyle!

CHŁOPIEC
marudząc

Dlaczego tatko nie gra?

ŁUKASZ
w zamyśleniu

Zagrać może?...

Zaczyna grać najpierw cichutko, później coraz głośniejsze, z wolna przechodzi na nutę owej „Wiośniarki”, którą niegdyś grał M a w c e. Brzmienie fujarki zaczyna przemawiać słowami.

Jak słodko wygrywa,
przenika do żywa
niby nożem piersi białe,
serce z nich wyrywa!

ŁUKASZ
upuszczając z rąk fujarkę

O! Cóż to za fujarka? Czary! Czary!

Chłopiec przestraszywszy się krzyku uciekł do chaty.

Co to za wierzba? Gadaj, czarownico!
Chwyta K y ł y n ę za ramię.

KYŁYNA

A ty się odczep! Skąd mam niby wiedzieć?
Ja się nie kumam jak twoja rodzina
z hałasem leśną! Jak chcesz, to ją zetnij,
a bo ja bronię? Naści tu siekiere.

Podaje mu z sionki siekiere.

ŁUKASZ

*Wziął siekiere, podszedł do wierzby, uderzył raz w pień,
który zadrżał i zaszeleścił suchym listowiem. Zamachnął
się raz jeszcze i opadły mu ręce.*

Nie, nie podniosę ręki, nie dam rady...
Coś mnie za serce ścisła...

KYŁYNA

Daj, ja zetnę!

*Wyrywa Ł u k a s z o w i siekiere i z rozmachem zamierza
się na wierzbę. W tym momencie z nieba jak ognisty
wąż-meteor zlatuje P o k u ś n i k i obejmuje wierzbę.*

POKUŚNIK

Ja cię, umiłowana, oswobodzę!

Wierzba nagle bucha płomieniem. Ogień, dosięgnąwszy

wierzchołka, przerzuca się na chatę, zajęta się słomiana strzecha i pożar wnet ogarnia domostwo. Matka Łukasza i dzieci Kyłyny wybiegają z domu krzyząc: „Pali się! Pali się! Ratujcie! Pożar!” Matka z Kyłyną miotają się, wyciągając z ognia, co tylko da się ocalić, i na tobołkach i workach wynoszą skulone Złydni, które później kryją się w tych workach. Dzieci biegają z cebrzykami po wodę, zalewają ogień, który jednak rozpala się coraz bardziej.

MATKA

do Łukasza

Czemu się gapisz? Ratuj swoje dobro!

ŁUKASZ

wpatrując się w krokiew oplecioną językami ognia niczym
kwieciem

Dobro? A może tam i licho spłonie?

Krokiew rozpada się z łoskotem, słup iskier bucha wysoko w górę, pułap wali się i całe domostwo obraca się w ognisko. Nadchodzi ciężka biała chmura i śnieg zaczyna padać. Wkrótce przez białą oponę śniegu nie widać już nikogo, jedynie mieniąca się purpurowa plama dogasa i gdy śnieg się przeredza, widać czarne zgliszcza, które dymią i syczą z wilgoci. Nie widać już Matki i Łukasza i dzieci Kyłyny oraz tobołków z mieniem. Poprzez śnieg majaczy nie dopalona stodoła, wóz i nieco sprzętów gospodarskich.

KYŁYNA

z ostatnim węzłkiem w rękę, szarpie Łukasza za
rękaw

Łukasz!... Co tobie? Niczym skamieniały.
Bodaj tobołki pomógłbyś mi nosić.

ŁUKASZ

Powynosiliście już nawet Złydni.

KYŁYNA

Ugryź się w język! Co takiego gadasz?

ŁUKASZ

śmieje się cichym, dziwnym śmiechem

Widzę to, czego nie widzisz, kobito...
Teraz zmądrzałem...

KYŁYNA

przestraszona

Co ty mi takiego
powiadasz, mężu... Ja boję się ciebie!

ŁUKASZ

Czego się boisz? Głupca się nie bałaś,
a boisz się mądrego?

KYŁYNA

Mój Łukaszku,
idziemy do wsi.

ŁUKASZ

A ja tam nie pójdę.
Nie wyjdę z lasu. Pozostanę w lesie.

KYŁYNA

A co tu będziesz robić?

ŁUKASZ

A bo trzeba
wciąż robić coś?

KYŁYNA

Jakże my żyć będziemy?

ŁUKASZ

A czy żyć trzeba?

KYŁYNA

Na miły Bóg, mężu,
w głowie ci pomieszało się albo co.
Musi cię tak z przestrchu ozionęło,
pójdziemy do wsi, znającą zawołam,
niechaj odczyni przestrach!

Ciągnie go za rękę.

ŁUKASZ

patrzy na nią z beztroskim uśmiechem

A kto tutaj
pilnować będzie owych niedogatków?

Wskazuje wóz i graty.

KYŁYNA

z gospodarskim przejęciem

Oj, prawda, prawda, jeszcze to rozkradną!
Ino dowiedzą się o pogorzeli,
wnet ze wsi całej zbiegną się ludziska.
To już tu chyba zaczekaj, Łukaszk, u
a ja pobiegnę, koni gdzieś poproszę,
boć nasze w stajni żywcem się upiekły!
Zbierzemy to na wóz i zawieziemy
gdzieś do krewniaków twych, może przygarną...
Oj, bieda! Trzeba się ratować jakoś...

*Ostatnich słów domawia już biegnąc do lasu. Ł u k a s z
odprowadza ją beztroskim śmiechem. Wkrótce już jej nie
widać.*

*Od strony lasu zbliża się jakaś wysoka postać kobieca w
białej koszuli do stóp i w białej chuście zawiązanej we-
dle dawnego zwyczaju. Idzie chwiejąc się, jak gdyby się
uginąła pod wiatrem, chwilami przystaje i schyla nisko,
jak gdyby czegoś szukała. Gdy już podeszła bliżej i za-
trzymała się przy krzakach jeżyn rosnących nie opodal
zgliszczy, prostuje się i wówczas widać jej zmizerniałą
twarz podobną do twarzy Ł u k a s z a.*

LUKASZ

Ktoś ty jest? Czego szukasz?

ZJAWA

Zagubiona twa dola,
na manowce mnie zwiódła
bezrozumna swawola.
Teraz tułam się ino
borem, lasem, nizina,
zaglądam pod śnieżek, wypatruję ścieżek
hen, do rajju, co minął.
Oj, już dawno tę ścieżkę
białe zamiotły śniegi...
Jużem na tych manowcach
zagubiona na wieki!...

LUKASZ

Ułamże, moja Dolo,
ożyny gałazeczkę,
po śniegu ją prowadź, żeby utorować
bodaj małą ścieżeczkę!

DOLA

Kiedyś tutaj na wiosnę
borem-lasem chodziłam
i przy ścieżkach dla znaku
cudo-kwiaty sadiłam.

Podeptały kwiat-cudo
bez uwagi twe nogi,
wśród ciernia i bagien nie ostał ślad żaden,
którędy dojsć do drogi.

ŁUKASZ

A ty śnieg, moja Dolo,
ręką bodaj odgarnij,
czy nie znajdziesz pod śniegiem
cudo-kwiatu wśród darni.

DOLA

Tak mi ręce skostniały,
że już palcem nie ruszę...
i lżę ronię rzewną, bo wiem już na pewno,
że i tak zginać muszę.

Westchnąwszy, rusza dalej.

ŁUKASZ

wyciągając ku niej rękę

Powiedz mi, udziel rady,
jak bez doli żyć teraz!

DOLA

wskazuje mu ziemię pod nogami

Jak ucięta gałązka,

którą wiatr poniewiera!

Idzie, garbiąc się, i znika w śniegach.

Ł u k a s z schyla się nad miejscem, które wskazała mu D o l a, znajduje fujarkę wierzbową, którą był rzucił, bierze ją do ręki i idzie po białej polanie w stronę brzozy. Siada pod zwisającymi gałęzmi ubielonymi śniegiem i obraca w rękach fujarkę, chwilami uśmiechając się jak dziecko.

Lekka, biała, przejrzysta zjawą, twarzą przypominająca M a w k ę, wylania się zza brzozy i pochyla nad Ł u k a s z e m.

POSTAĆ MAWKI

Grajże mi, graj, daj mówić sercu memu!
Ono jedynie ze mnie pozostało.

ŁUKASZ

To ty?... Przychodzisz jako upiorzyca,
żeby pić ze mnie krew? Napij się! Napij!

Odstania pierś.

Nasyć się moją krwią! Tak, to się godzi,
bo ja cię zatraciłem...

MAWKA

Nie, mój miły,
dałeś mi duszę, tak jak ostry nóż
użycza głosu niemej witce wierzby.

LUKASZ

Dałem ci duszę? A wyzułem z ciała!
Bo cóż zostało z ciebie? Mara! Cień!

Patrzy na nią z niewysłowioną tęsknotą.

MAWKA

Nie troskaj się o ciało!
Jasnym płomieniem zabłysło, co tak
jak dobre wino pałacy ma smak,
iskrą swobodną pod niebo wzleciało.

Popiół mój lekki jak puch
z ziemią i wodą się zjedna od nowa
i znów zeń witek wyrośnie wierzbowa,
bowiem ze śmiercią nie kończy się ruch.

Iść będą młodzi i starzy,
smutny i wesół, i bogacz, i dziad
radość i smutek niosący przez świat,
z nimi ma dusza wierzbowa pogwarzy.

Wtedy usłyszą mój głos
w szeleście liści i muzyce muszej,
w tęskliwej nucie fujarki pastuszej,
w witykach roniących na ziemię lzy ros.

Wyśpiewam im na przemiany
wszystkie twe piosnki i każdą z twych nut
jaki w tym lesie grywałeś mi wprzód
goniąc rój marzeń wiośniany...
Błagam cię, graj, ukochany!

Ł u k a s z zaczyna grać. Z początku granie jego zawodzi smętnie niczym wiatr zimowy, niby żal za czymś utraconym i niezapomnianym, ale rychło przemożny śpiew miłości przygłusza tęsknotę. Podobnie jak odmienia się muzyka, również odmienia się zima dookoła: brzoza szeleści kędzierzawymi liśćmi, wiosenne odgłosy rozlegają się w rozkwitłym lesie, mroczny dzień zimowy zmienia się w jasną, miesięczną noc wiosenną. M a w k a rozbłyśka nagle dawną urodą w wieńcu z gwiazd. Ł u k a s z zrywa się ku niej z okrzykiem radości.

Wiatr strąca z drzew białe kwiecie. Kwiecie pada, pada i przysłania parę kochanków, po czym przechodzi w gęstą śnieżycę. Gdy już ucichła nieco, widać znów zimowy krajobraz z gałęzmi drzew pokrytymi ciężko nawisłym śniegiem. Ł u k a s z siedzi sam, oparty o brzozę, z fujarką w rękę, oczy ma przymknięte, na ustach zastygł mu uśmiech szczęścia. Siedzi w bezruchu. Śnieg czapą okrył mu głowę, zaproszył całego i pada, pada bez końca...

25 VII 1911

SPIS RZECZY

Florian Nieuważny: <i>Fenomen Łesi Ukrainki</i>	5
Sonet (<i>Sonet</i>)	23
<i>Stanisław Ulicki</i>	
Safo (<i>Safo</i>)	24
<i>Stanisław Ulicki</i>	
Maria Stuart (<i>Ostannia pisma Mariji Stiuart</i>)	25
<i>Stanisław Ulicki</i>	
Fa (<i>Fa</i>)	26
<i>Stanisław Ulicki</i>	
Contra spem spero	27
<i>Florian Nieuważny</i>	
Grobowiec w Baczysaraju (<i>Baczysarajska brobnycja</i>)	29
<i>Stanisław Ulicki</i>	
Baczysaraj (<i>Baczysaraj</i>)	30
<i>Stanisław Ulicki</i>	
Światełka przedranne (<i>Doswitni wobni</i>)	31
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	
Towarzysze na pamiątkę (<i>Towaryszci na spomyn</i>)	33
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	
Chwila rozpacz (<i>Chwyłyna rozpacz</i>)	36
<i>Stanisław Ulicki</i>	
Anioł zemsty (<i>Anhel pomsty</i>)	38
<i>Florian Nieuważny</i>	
Fiat nox!	40
<i>Florian Nieuważny</i>	

Słowo me, czemuś ty nie z twardej stali... (<i>Słowo, czemu ty ne twerdaja krycja...</i>)	43
<i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i>	
Romanca (<i>Romans</i>)	45
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	
I nie skończona przerwana rozmowa... (<i>Porwalasja neskincze- na rozmowa...</i>)	46
<i>Stanisław Ulicki</i>	
Zawsze wieniec cierniowy... (<i>Zawždy ternowuj wineć...</i>) . . .	48
<i>Tadeusz Chrościelewski</i>	
I ty walczyłaś ongi, Ukraino... (<i>I ty kołyś borolaś, mow Izrail...</i>)	51
<i>Bohdan Drozdowski</i>	

Z CYKLU «RYTMY»

III. Gdyby udało się promienie złote... (<i>Jak oti prominnia złoti...</i>)	54
<i>Leopold Lewin</i>	
IV. Pragnęłabym popłynąć w dal na fali... (<i>Chotila b ja upły- sty za wodoju...</i>)	55
<i>Sydır Twerdochlib</i>	
V. Daremny trud! Nigdy ujarzmić nie zdołam... (<i>Ni! Ja po- kryty jiji ne zdołaju...</i>)	57
<i>Florian Nieuważny</i>	
VI. Gdyby moja krew wyciekała z żył... (<i>Jakby wsja krow moja...</i>)	59
<i>Florian Nieuważny</i>	
VII. O jakże ciężko wędrować tym szlakiem... (<i>O, jak tiazko tym szlachom chodyty...</i>)	60
<i>Florian Nieuważny</i>	
VIII. Czemu nie mogę ulecić wysoko... (<i>Czom ja ne možu złynuty...</i>)	62
<i>Andrzej Szymański</i>	

Oj, pójdę ja w bór przepastny... (<i>Oj, pidu ja w bir tem- neńkyj...</i>)	64
<i>Stanisław Ulicki</i>	

Z CYKLU «JESIENNE SPIEWY»

3. Ostatnie róże (<i>Ostanni kwitky</i>)	65
<i>Florian Nieuważny</i>	
4. Placz Jeremiasza (<i>Placz Jeremiji</i>)	66
<i>Florian Nieuważny</i>	

LEGENDY (FANTAZJE EGIPSKIE)

I. Sfinks (<i>Sfinks</i>)	67
<i>Waldemar Gajewski</i>	
II. Ra-Meneis (<i>Ra-Meneis</i>)	69
<i>Waldemar Gajewski</i>	
III. Saul (<i>Saul</i>)	74
<i>Waldemar Gajewski</i>	
Tragedia (<i>Trabedija</i>)	79
<i>Florian Nieuważny</i>	
Slavus-sclavus	81
<i>Waldemar Gajewski</i>	
Twoja krew – to rubin cenny... (<i>Krow twoja – rubin kosztow- nyj...</i>)	83
<i>Florian Nieuważny</i>	
O, graj, dziewczyno, przybita cierpieniem, graj... (<i>Ty, diwczyno, żyttjam rozbyta, braj...</i>)	84
<i>Florian Nieuważny</i>	
Chciałabym objąć cię jak bluszczu pnącze... (<i>Chotiła b ja tebe, mow pluszcz obniaty...</i>)	85
<i>Waldemar Gajewski</i>	

A może zdarzy się i inny cud... (<i>To, może, stanet'sja i drube dywo...</i>)	86
<i>Florian Nieuważny</i>	
Nie chciałeś mnie wziąć... (<i>Ty ne chtiw mene wzięt'...</i>)	87
<i>Florian Nieuważny</i>	
Oj, postrzelały mnie, zrąbały słowa... (<i>Oj, ja postrelana, porubana słowamy...</i>)	88
<i>Florian Nieuważny</i>	
Gdzie są te struny, gdzie ten głos potężny... (<i>De tiji struny, de hołos potużnyj...</i>)	89
<i>Tadeusz Chróścielewski</i>	
Jaskrawym światłem fale wyblyskują... (<i>Hostrym połyskom chwylu spalachujut'...</i>)	91
<i>Florian Nieuważny</i>	
Wiedziałam dobrze: będą zły i męka... (<i>Ja znała te, szczo budut' slozy, muka...</i>)	92
<i>Florian Nieuważny</i>	
Było to za czasów świętej Hermandady... (<i>Bulo se za czasiw swiatoji Hermandady...</i>)	94
<i>Florian Nieuważny</i>	
Eppur ti tradiro	96
<i>Florian Nieuważny</i>	
Prorok (<i>Prorok</i>)	97
<i>Florian Nieuważny</i>	

WIOSNA W EGIPCIE

I. Chamsin (<i>Chamsin</i>)	98
<i>Krzysztof Rozner</i>	
II. Oddech pustyni (<i>Dychannia pustyni</i>)	100
<i>Krzysztof Rozner</i>	
III. Afryt (<i>Afra</i>)	101
<i>Krzysztof Rozner</i>	

VI. Wieść z północy (<i>Wist' iz piwnoczi</i>)	103
<i>Krzysztof Rozner</i>	
VII. Tajemniczy dar (<i>Tajemnyj dar</i>)	104
<i>Krzysztof Rozner</i>	
Kto wam powiedział, że ja kwękam... (<i>Chto wam skazaw, szczo ja slabka</i>)	106
<i>Florian Nieuważny</i>	
PIEŚŃ LASU. Baśń dramatyczna w trzech aktach (<i>Lisowa pisnya. Dramatyczna feerija w trioch dijach</i>)	107
<i>Jerzy Litwiniuk</i>	

Printed in Poland

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1989 r.

Wydanie pierwsze

Nakład 5000+250 egz. Ark. wyd. 7,5. Ark. druk. 16,5

Papier druk. sat. kl. III, 70 g, 70×100 cm

Oddano do składania 20 kwietnia 1988 r.

Podpisano do druku w listopadzie 1988 r.

Druk ukończono w styczniu 1989 r.

Zakłady Graficzne w Toruniu

Nr zam. 1296. U-49

Cena zł 400,—

